



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

NAJWYŻEJ USTANOWIONY

pod prezydencją

**JEGO CESARSKIEJ WYSOKOŚCI
CESARZEWICZA NASTĘPCY TRONU**

Specjalny Komitet.

Ofiary w pieniądzu, oddawane do dyspozycji, pozostającego pod prezydencją JEGO CESARSKIEJ WYSOKOŚCI CESARZEWICZA NASTĘPCY TRONU specjalnego Komitetu do niesienia pomocy potrzebującym w miejscowościach, dotkniętych nieurodzajem, jak również deklaracje o chęci złożenia na rzecz potrzebujących ofiar w zbożu (w ziarnie i mące) przyjmują się w lokalu Gabinetu JEGO CESARSKIEJ MOŚCI przy moście Anickowa, od godziny 10-ej z rana do 2-ej po południu, codziennie z wyłączeniem dni, w których biura nie są czynne. Ofiary od niemiejsowych należy adresować: do St. Petersburga, do ustanowionego Najwyżej Specjalnego Komitetu, pozostającego pod prezydencją JEGO CESARSKIEJ WYSOKOŚCI CESARZEWICZA NASTĘPCY TRONU.

OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratorowie otrzymać mogą bezpłatnie na żądanie początek Studium pod tytułem:

Kobieta w XX wieku,

które w dalszym ciągu w Bluszczu r. b. się drukuje; oraz początek powieści drukującej się w Dodatku p. t. **OMYŁKA**, przez R. Norrisa.

POGA WĘDKA.

Rzecz to dziwnie charakterystyczna, że tak, jak w literaturze, w sztuce, tak i w prassie przejmujemy się pewnymi kwestyami, zastanawiamy się nad pewnymi objawami dopiero wtedy, kiedy one zwrócą na siebie uwagę obcych, kiedy je cudze oczy wpięty zobaczą, cudze umysły wezmą na przetrwanie, cudze talenta spróbują użytkować. Zatracam oryginalność obserwacji, tworzenia, myślenia, rozumowania, potrzebujemy zawsze wzoru, podniety, inicjatywy z zewnątrz, jak gdybyśmy sami z siebie, z bezpośredniego otoczenia, z własnego materiału czerpać nie potrafili.

Rozpisywałem się niegdyś obszerniej nad tem wzorowaniem się, zapożyczaniem i naśladowaniem drugich, widocznem szczególnie w naszym dziennikarstwie; żywimy się umysłowo przeważnie obcą, przegotowaną strawą, z drugiej ręki, za mało

czerpiemy wprost ze źródeł, poprzestajemy na przeróbkach, za mało studujemy sami dany przedmiot, daną kwestyę. Opinie nasze, wygłaszane niekiedy z nadzwyczajną stanowczością, bywają przyswojonym tylko zdaniem, powtarzaniem na ślepo z jakiegoś francuskiego lub niemieckiego autora. Przeglądy naukowe, literackie, artystyczne o ruchu umysłowym i twórczości zagranicznej są najczęściej klejankami z wycinków i artykułów z pism obcych; ba! tak zwane oryginalne i rozumowane korespondencje zdarzało mi się w poważnych organach czytać jako dosłowne niemal tłumaczenia bez przytoczenia źródła z literackich i naukowych tygodników i miesięczników berlińskich, wiedeńskich lub paryżkich.

Ileż to razy czytelnik dostaje rozbiór dzieła lub jego streszczenie, nie z książki samej, nie z oryginału, ale z recenzji, z felietonu jakiejś zagranicznej gazety i, podziwiając erudycję, pracowitość, żywe zajęcie się umysłowym i piśmienniczym ruchem swojskiego krytyka czy popularyzatora, nie podejrzewa go nawet o bardzo brzydki a bardzo łatwy plagiat.

Dzieje się tedy coraz bardziej, że dziennikarstwo nasze, beletrystyka nawet, sztuka do pewnego stopnia świeci odblaskami tylko, reflexami, odbiciem obcych światła, nabiera kolorytu, charakteru zapożyczonego, cudzego.

Nie tylko pod względem formy, ale pod względem treści i ducha, daje się to zauważyć. Nie mam nic przeciw uczeniu się od obcych, przeciw zaprawianiu smaku na dobrych wzorach, przeciw zapładnianiu umysłu cudzemi myślami i ideałami, — chodzi mi tylko o to, aby zbyt namiętnie nie przytępiała zupełnie zmysłu samodzielności, oryginalności, nie odwracała zanadto uwagi od tego, co bliższe ku temu, co dalsze, nie przyzwyczajala do pewnego rozleniwiania w samodzielnej pracy umysłowej, do umysłowego życia cudzym wyłącznie kosztem.

Wszystkie te uwagi nasunęły mi się świeżo z oka-

zyi kwestyi, która całkiem słusznie zresztą stanęła na porządku dziennym publicznych rozpraw i poruszyła wiele dzielnich piór z powodu tak zwanej „newrozy“ w literaturze i w życiu.

Niezaprzeczenie temat zajmujący i ciekawy, warto się nad nim zastanowić, warto potrudzić głowę i zwrócić na niego uwagę; i stało się to u nas, ale stało dopiero teraz, gdy głośna sprawa obłędu i samobójczej manii słynnego francuskiego pisarza Gwidona de Maupassant dała we Francji pocho- p do mnóstwa rozumowanych artykułów, rozbiórów i ostrzeżeń.

Musiał się nam ten przedmiot nastęrczyć dopiero zzewnątrz, musiał wywołać cały chór rozmaitych zdań i głosów, musiał się stać taki sensacyjny fakt dopiero we Francji, abyśmy sobie przypomnieli, że ta kwestya newrozy istnieje i u nas, że jej objawy mamy nie od wczoraj przed oczyma i że przeciw niej należałoby koniecznie o jakichś środkach zaradczych pomyśleć.

Kilka tygodni temu mieliśmy tuż w pobliżu naszym wypadku tragiczny i jako materiał do krytyki psycho-patycznej bardzo podatny, kiedy niepospolicie utalentowany pisarz, poeta i publicysta, popełnił samobójstwo „z bezgranicznej, śmiertelnej odrady do życia“, wyznając iż „do ludzi w tej nirwanowej chwili nie ma ani żalu, ani pretensyi.“

W fakcie tym, poza aktualnością danego wypadku, nie dopatrzone się na razie żadnego poważniejszego materiału do analizy i zanotowano go zaledwie w kronice wydarzeń dziennych; ale gdy Maupassant strzelił do siebie z rewolweru i brzytwą próbował przeciąć sobie gardło, przejrzelśmy nagle i zobaczyli w tem objaw godny zastanowienia i rozumowania.

Przytaczam ten przykład na poparcie mojego zdania, że przywykamy zanadto do tematów, myśli, spostrzeżeń, krytyki, podsuwanej nam zzewnątrz, osłabiając czujność i wrażliwość na sprawy, kwestye i temata bezpośrednio najbliższe.

Co do tak zwanej newrozy, czyli stanu nadezłości, jakiemu ulega coraz więcej ostatnie pokolenie naszego wieku, zatracając równowagę sił i czynników zdrowia w swoim cielesnym i duchowym organizmie, dałoby się dużo i długo rozprawiać.

Stan to niezawodnie chorobliwy i niebezpieczny, a jego skutki fatalnie dają się odczuwać w najrozmaitszych kierunkach i dziedzinach jednostkowego i społecznego żywota; ale w obec tego złego zaczyna się objawiać jeden symptomat bardzo pocieszający na przyszłość: oto świadomość groźnej choroby i potrzeby środków wyleczenia się z niej.

Nie nazywa się jej więcej naturalnym objawem, stanem normalnym ludzi z *fin de siècle*, ale przyznaje, że to stan patologiczny, że to epoka schyłkowa, chorobliwa, która minąć musi i powinna, jeżeli ludzkość nie ma zwyrodnąć zupełnie a świat zamienić się w jeden wielki dom obłąkanych.

I wobec tej epidemii grożącej zagładą zaczyna prosty instynkt zachowawczy odzywać się coraz częściej i wołać: ratunku!.. zaczynamy coraz gorliwiej szukać środków zapobiegających chorobie, szukać lekarstwa, prezerwatywy i powiadamy sobie:

— Nie, tak dłużej być nie może: trzeba się otrząsnąć, trzeba się leczyć, trzeba wrócić do równowagi. Ciągła gorączka nie może być stanem normalnym, bredzenia w malignie nie mogą być głosem rozumu, zboczenia wszelakie, szalone porywy i dziwactwa nie mogą uchodzić za uprawnione, albo nawet uprzywilejowane jakieś działania, — otworzmy oczy i chodźmy do lekarzy!..

Oto najnowsza faza, oto znak przesilenia się choroby w owej trzeźwej i spokojnej reflexyi, która budzi się już w umysłach.

Jakie będą te środki lecznicze?.. to należy do przyszłości, może nawet bardzo niedalekiej; w każdym razie biorąc pewną analogią między metodą kuracyi zdenerwowanych organizmów fizycznych i moralnych, wolno przypuszczać, iż muszą one być uśmierzające.

Rozpisałem się z konieczności nieco obszerniej o temacie, który za duży jest do kroniki faktów bieżących, aby go można było choćby streścić do- kładnie, ale którego nie mniej niepodobna było pominąć, jako bardzo znamiennej kwestyi, narzucającej się każdemu myślącemu człowiekowi na każdym kroku.

Przechodząc do innych spraw, mniej abstrakcyj-

nych, a związanych z chwilą bieżącą, muszę jeszcze raz wspomnieć o świeżej stracie, jaką poniosła Warszawa przez zgon ś. p. pani Augustowej Potockiej.

Zmarła była osobistością wybitną za życia, głównie tylko na polu filantropii; umiała czynić dobrze o tyle, o ile hojna zawsze ręka miłośnier magnatki nie cofała się nigdy z ofiarą pieniężną.

Testament jej w tym samym duchu został spisany, w jakim całą działalność za życia rozwijała; z poza grobu rozdała jeszcze większe lub mniejsze jałmużny, zapomogi, upominki w gotówce, nie utworzywszy żadnej znaczniejszej fundacyi filantropijnej większego i poważniejszego znaczenia, w którejby jej myśl głębsza wiekowała, a pamięć z pokolenia w pokolenie przechodziła.

Jedynym widocznym i trwałym pomnikiem jej ofiarności będzie nowa świątynia przy ulicy Dzielnej, na którą za życia jeszcze wyasygnowała kapitał 350.000.

Majątki swoje znaczne przeznaczyła najbliższemu krewnym.

Ciekawość i domysłność ludzka przesadziła bardzo wielkość owej spuścizny, licząc ją na dziesiątki a nawet setki milionów; ściślejsze rachunki wykazały w przybliżeniu, że gotówka wyniesie około czterech, a dobra i nieruchomości, około dziesięciu milionów rubli.

Ogólne dochody roczne pani Augustowej nie przewyższały 230.000, z których więcej niż połowę obracała stale na dobroczynność. Summa to bardzo znaczna i chyba nie znajdzie się wśród naszej arystokracji i w gronie najgorętszych filantropów nikt drugi, coby mógł i chciał taki kapitał oddawać w imię bliźniego i miłosierdzia.

Całkiem naturalnie nasuwa się też pytanie: kto ze śmiercią tej hojnej pani odziedziczy oprócz jej majątków, tradycyi jej ofiarności?..

Sto kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie mniej wpływać teraz będzie do owej filantropijnej skar- bony, z której Warszawa czerpie fundusze dla swoich biednych i wspomaga dobroczynne cele.

To wyrwa znaczna, różnica duża i nie łatwo będzie zapłacić ją składanemi summami, zwłaszcza że u nas nie wchodzi w zwyczaj pełnić cnotę miłosierdzia wedle możności, choćby najmniejszą ofiarą.

Czeka się zawsze, aby dawali tylko ci, co naj- więcej posiadają; znaczenia „wdowich groszy“ ogół nie rozumie i nie ocenia należycie.

Któryś z prelegentów przed laty obliczał, że gdyby każdy mieszkaniec Warszawy tylko kopiej- kę dziennie poświęcał na cele dobroczynne, ale od tego dobrowolnego podatku się nie uchylał w cią- gu roku około półtora miliona rubli możnaby zbier- rać na filantropią.

Kopiejkę przecież najmniej zamożny człowiek bez znacznego uszczerbku mógłby codziennie rzu- cić na ofiarę, ale jak łatwem wydaje się to w teo- ryi, a jak trudnem bywa w praktyce!.. zaświadczyć by mogły wszystkie puszkki wiszące publicznie z niemą prośbą o wsparcie na rozmaite instytucye.

Rzadko kiedy wysunie się ku nim ręka z mie- dziażkami, wiedziona samem poczuciem ofiarności.

Trzeba ciągle dzwonić, jak przy kweście, nawo- ływać, przypominać, zachęcać, aby ta ofiarność nie zasypiała a źródło publicznego miłosierdzia nie wysychało.

Kto u nas zajmował się kiedykolwiek zbieraniem składek, datków, udziałów, ten wie, że ta praca idzie jak z kamienia; nie wydusisz — nie dostaniesz.

Pomijam, że nam na szerszą skalę brak tej wiel- kiej chrześcijańskiej i humanitarnej cnoty, która bezinteresownie każe wspierać uboższych bliźnich karmić głodnych, odziewać nagich i t. p., ale mamy jeszcze brzydka wadę opieszałości i nierzetelności w wypełnianiu dobrowolnych zobowiązań.

Przejrzyjcie listy członków rozmaitych towa- rzystw: ile tam zwykle zaległości, ile długów prze- noszonych z roku na rok!.. Pod wpływem namo- wy, zachęty, reklamy, jakiegoś chwilowego pory- wu, zostajemy protektorami, opiekunami, członka- mi wszelakich stowarzyszeń, kas, instytucyi, opła- camy wpisowe, dajemy pierwszą składkę, ale na przyszły rok już nam ten wydatek ciążyć zaczyna, już opóźniamy opłatę kilku czy kilkunastu rubli, a w dwa lata później odmawiamy zupełnie, wy-

kreślamy się sami lub czekamy z głębokiem za- dowoleniem, aż nas jako nierzetelnych członków i stowarzyszonych wykreśla.

Nie lepiej dzieje się z tworzeniem spółek, zbie- raniem udziałów, składaniem kapitałów, nawet w przedsiębiorstwach wzajemnego interesu, powsta- jących dla korzyści jednostek, obliczonych na wspólne zyski.

Po co mam przypominać dzieje Bazaru rzemieś- niczego, który ciągle dochodzi do skutku, tylko mu zawsze jeszcze brak paru tysięcy do zakładowego kapitału; po co mam szukać innych przykładów, kiedy co tydzień niemal nastęrcza się jakiś nowy!.. Oto wystawa prób i wzorów, założona w gmachu Muzeum przemysłu i rolnictwa, jako reklama dla naszych rzemiosł i wytwórczości miejscowej, jako pośredniczka między firmami a interessantami, po roku istnienia zagrożoną została upadkiem i po- trzeba było podtrzymać ją ofiarnością członków, którzy zgodzili się dla próby składać po 2.000 rs., przez lat trzy na opłacanie komornego w odpowie- dniejszym, niż dotychczas, lokalu; przy rozprawach na walnem zebraniu uczestników okazało się bo- wiem, iż dotychczas za wysoko była ta wystawa pomieszczona, bo aż na trzeciem piętrze i panów majstrów widocznie nogi nie chciały nosić na taką wyżynę w ich własnym interessie.

Interessanci miejscowi i przejezdni, kupcy, prze- mysłowcy, agenci, jakoś nie bali się schodów, bo przecięciowo 250 osób miesięcznie w roku ubie- głym zwiedzało wystawę, zgłaszało się po adresy, informacye i t. p.

Coż z tego, kiedy zarząd nie mógł rozwinąć ener- giczniejszej działalności z winy samych panów wystawców, którzy zamało się wystawą swoją zajmowali, za długo kazali czekać na odpowiedzi w kwestyach ich wyrobów, dostaw, cen, warun- ków i t. p.

Jak tu przekonywać ludzi, którzy nie chcą być przekonanymi?..

Mówi się u nas, pisze, wspomina o potrzebie pod- niesienia rzemiosł, rozwoju przemysłu, popierania własnej produkeyi, utworzenia nowych dróg zbytu dla naszych wyrobów, ożywieniu handlu, a kiedy w tym kierunku rozpoczyna się jaką działalność, to ta usiłowania przypominają łyżwiarza, który próbuje wydostać się na szczyt lodowca.

Z wielkiem rozmachem puszcza się w górę i zjeżdża potem na dół.

Po nieudanej próbie z wystawą prób i wzorów, którą może jeszcze nowy zarząd i ludzie energicz- ni, podeprą skutecznie i jednak spopularyzują wśród apatycznych kół rzemieślniczych i przemys- łowych u nas, wchodzi na porządek dzienny in- stytucya, mająca już materyalną i finansową do pewnego stopnia podstawę; mówię o warszawskim Muzeum rzemiosł.

Otrzymało ono z kassy p. Wawelberga 25.000 rs. na początek, znalazły się i inne ofiary, —chodzi teraz o wykonanie projektu i o zabezpieczenie by- tu na przyszłość.

Co to ma być?.. ma to być instytucya, w której każdy rzemieślnik w swoim fachu będzie mógł znaleźć wzory, modele, rysunki, materyały do u- lepszenia swojego rzemiosła, gdzie mu dostarczą wskazówek praktycznych i teoretycznych, jaki po- stęp zrobiono w jego specjalności, gdzie będzie mógł zobaczyć wykonane roboty z nowemi pomy- ślami, z nowem ułatwieniem pracy, gdzie wreszcie będzie mógł zaprawiać swój gust i korzystać z cu- dzego doświadczenia.

Zagranicą wszystkie niemal większe miasta zdo- były się już na takie Muzea rzemiosł, posiadają bo- gate i zajmujące zbiory, obficie zasilone książnice dzieł fachowych, sale rysunkowe i t. d. U nas do- piero się na to zanosi.

Aby zaś takie Muzeum doszło do skutku, potrze- ba: 1) datków i darów jednorazowych na jego urzą- dzenie, 2) składek rocznych na jego utrzymanie, 3) przedmiotów w naturze, odpowiadających prze- znaczeniu instytucyi.

Bez tego nie uda się wcale, —jeżeli zaś udać się ma, to powinno koniecznie zakroić się odrazu na większą skalę; wegetować nie może, bo minie się ze swoim celem. Musi budzić zajęcie w sferach interessowanych, musi dostarczyć rzemieślnikowi i przemysłowcowi tego, czego w niem szukać będzie

musi dawać zaciekanie i rzeczywisty pożytek; dlatego trzeba mu dostarczyć środków i odrazu gorącego, trwałego i prawdziwego poparcia.

Inaczej cały projekt może być znowu poronionym, jak tyle innych, które w najlepszej myśli poczęte, ciężko urodzone, ginęły potem jak anemiczne, źle odżywiane dzieci, z braku sił żywotnych.

Jest do zrobienia rzecz dobra, potrzebna, nawet konieczna,—niechże ci, którzy główny w tem interes mają bezpośrednio, przemysłowcy, fabrykanci, kupey, pośpieszą z pomocą i stworzą instytucję, godną swego przeznaczenia, nie tylko *pro honore domus*, ale i dla pewnej korzyści, jaką da przyszłość w podniesieniu naszych rzemiosł i naszego rękodzielnictwa, tracącego coraz bardziej w pojęciowych galeziach swą dobrą niegdyś opinią.

Z dziedziny przemysłu jednym krokiem przechodzi mi stanać w dziedzinie sztuki, w której niestety, zdarza się także spotykać dość często utwory, zasługujące tylko na nazwę—rękodzielnictwa.

Mam obowiązek zaznaczyć wynik ostatniego konkursu malarzkiego w Towarzystwie zachęty. Nadesłano obrazów trzydzieści—nie powiem, aby pod względem artystycznym zbiór ten bardzo zaimponował krytyce.

Jak na prace konkursowe, ubiegające się o odznaczenie i nagrody, można było wybrać coś lepszego w wielu wypadkach pod względem techniki, a bardziej zajmującego pod względem tematów i pomysłowości.

Od pewnego czasu jakaś dziwna bezmyślność i pustka, pokrywana tylko *ad hoc* urabianiem teoryjkami i hasłami, bezmyślność, nietylko w treści, ale w samym traktowaniu malowanych przedmiotów, coraz bardziej widnieje w sztuce.

Jestto objaw przykry dla prawdziwego jej miłośnika, który nie daje się złudzić i obalamuści polemistom, szermującym lepiej piórem, niż pędzlem, krytykom rekrutowanym z zapoznanych geniuszów i nowym doktrynerom w malarstwie. Trudno się przekonać, zapalić, rozmiłować do tych kolorowanych mniej lub więcej jaskrawo płócien, które jako dzieła talentu nie przestają sprawiać wrażenia... płótna.

Prof. Tarnowski w odpowiedzi p. Witkiewiczowi bardzo trafny postawił przykład, że wybór tematu nie jest rzeczą tak błahą dla malarza, jak się to wielu artystom dzisiejszym wydaje, bo między cudownie malowaną głową kapusty a głową Mory Lizy, między najplastyczniej wykonaną ścieką a chustą św. Weroniki z obliczem Chrystusa będzie zawsze bardzo duża, bardzo ważna i zasadnicza różnica, która zadecyduje przy równych zaletach technicznych obu obrazów o ich wrażeniu duchowym i wartości estetycznej. Zawsze ten podnioslejszy jakiś temat uszlachetni, podniesie, upiękni dzieło sztuki i na widza głębiej oddziała,—nawet wtedy, kiedy nie dosięgnie w wykonaniu zupełnej doskonałości.

Madonny Rafaela zyskały sławę po wieki, chociaż nie jeden z naszych impresjonistów mógłby im z uśmiechem lekceważenia zarzucić brak kolorytu.

Zresztą, nie chodzi mi o sam temat, ale o to coś, co jest duszą obrazu, a co ściśle związane bywa z naturą artystyczną, z indywidualnością jego twórcy, która powinna wyrastać ponad przeciętną pospolitość zwykłych filistrów.

Tego mi, niestety, tak często brak w obrazach dzisiejszych, że nie mogę żadną miarą odczuć w nich duszy, że nie przemawia do mnie niczem podnioslejszym, ani dzieło, ani temat, ani ukryty poza swym utworem artysta.

Malarza podziwiam zalety, mimo to artysty, poety, twórczego geniusza nie znajduję i to właśnie nie pociąga mnie do najlepiej malowanych obrazów, to mi psuje wrażenie moich oczu, to mnie zostawia obojętnym, a niekiedy i drażni, gdy pomyślę:

—Cóż do licha, czyż malując tak świetnie wodę, ziemię, drzewa, niebo, kwiaty, ludzi, konia, bydło, nie mogłeś człowieku użytkować swej umiejętności w jakimś szlachetniejszym celu?... Przecież nie sama zewnętrzna prawda jest celem sztuki, ale i piękno, a ono musi mieć duchowy pierwiastek w sobie. Nie gaście ducha, nie zamalowujcie go farbami tak całkowicie, aby się go nawet domyślać nie było można w waszych obrazach!...

Ale wracajmy do konkursu.

Pierwszą nagrodę w kwocie rs. 600 przyznano p. Zdzisławowi Jasińskiemu, twórcy „Chorej matki“, która mu tak zasłużony rozgłos zjednała, za obraz dość dużych rozmiarów p. t. „Nabożeństwo świąteczne.“

Przed ołtarzem ukłękło w wiejskim kościele bractwo ze świecami, dziewczęta z feretronem, chłopak w komży z kadzielnicą,—widać tylko tych kilkanaście figur otoczonych mgłą kadzidla, jakby obsypanych z góry światłem południowym, które przez okna wysokie wpada do wnętrza, doskonale wystudowanych z natury, ugrupowanych bardzo naturalnie, z wielką prostotą—i to jest cały obraz. Ale każda z tych figur coś mówi, każda ma w swej fizyognomii jakąś właściwą charakterystykę, każda za siebie starczy a łączy się w całość harmonijnej kompozycji.

Kłęczą, modlą się i śpiewają pieśń nabożną...

Tylko tyle, lecz widza coś przytrzymuje przed obrazem, coś mu przypomina takie sceny widziane kiedyś w naturze, coś budzi mu w duszy i echa tej pieśni, i głos tych niewidzialnych organów, i prosty ale uroczysty nastrój takiego nabożeństwa w pełnym ludu kościółku wiejskim, i te uczucia, których sam doświadczał—a wszystko to razem sprawia, że między nim a obrazem zawiązuje się jakaś nie sympatyi i żywszego interessu.

Powiada sobie: „jaki to ładny, jaki miły, jaki prawdziwy obraz!“ a dopiero potem dodaje: „a jak dobrze i starannie malowany!“

Drugą nagrodę rs. 300 otrzymał p. Władysław Podkowiński za „Portret“ pani Miłoszowej Kot., nie uderzający wprawdzie wielkiem podobieństwem, ale malowany efektownie, z pewnem odstępstwem od dziwactw tak zwanego impresjonizmu, który bywa raczej *sui generis* daltonizmem niektórych artystów, nierozróżniających umyślnie w naturze pewnych kolorów, a zastępujących je za to dowolnie innymi.

Tym razem p. Podkowiński, jeden z najbardziej utalentowanych naszych malarzy młodszego pokolenia, ustrzegł się zbytnich błędów tej nowej metody, i dlatego utworzył rzecz godną uznania, zwłaszcza jako zapowiedź dojrzałego traktowania tego rodzaju sztuki.

Pani Kędzierskiemu przyznano trzecią nagrodę za „Antka astronoma“, obraz bardzo dobrze malowany, pomyślany i odczuty na temat niby stary, ale odświeżony poezją i pomysłowością.

Oto w nocy na pastwisku siedzi mały koniucha, rękoma ujął się za kolana, głowę w tył przechylił i patrzy w gwiazdy, które niebo się roziskrzyło.

Spokój letniej nocy i jakaś melancholia bez sentymentalizmu rozlewa się w całym obrazie, który stanowczo wart był wyższego odznaczenia.

Komitet dodał jeszcze jedną nagrodę trzecią w kwocie stu rubli i uwieńczył nią „Kury“ p. Pawła Rosena,—dobrze malowane, ale zawsze tylko kury.

Co prawda, według moich poglądów, powyżej ogłoszonych, obraz nie zyskałby w moich oczach na tem, gdyby p. Rosen wymalował był zamiast kokoszek i koguta, same pawie lub nawet strusie.

Na zakończenie pogadanki dzisiejszej winieniem zanotować rzadki wypadek: oto w sali ratuszowej, która w ostatnich latach tak często świeciła pustkami na odczytach, zebrało się pełno publiczności w krzesłach i na galerii, gdy zeszłego tygodnia na katedrze prelegentkiej zasiadła znana poetka, nowelistka i podróżniczka p. Helena Janina Szolc-Rogozińska (Hajota), aby na korzyść osad letnich dla słabowitych dzieci opowiedzieć nam swoje i męża swego przygody w karkołomnej wyprawie na najwyższy i tak trudno dostępny Clarence-Pic, sterujący na Fernando-Po.

Śluchacze nie wiedzieli, co bardziej podziwiać: czy śmiałość i wytrwałość wątlej turystki, czy malowniczo i zajmujący opis przyrody afrykańskiej, ludzi, przewodników i wypadków, jakie pp. Rogozińscy w tej śmiałej wyprawie doznali?

Praca Hajoty, która w języku hiszpańskim ogłoszoną była również w Lizbonie roku zeszłego i zyskała jej gorące uznanie, wydrukowana zostanie w *Tygodniku ilustrowanym*, gdzie odczytać ją będą mogli ci, których minęła sposobność wysłuchania jej z ust samej prelegentki.

Quis.

ISKIERKA

(p. Stanisławowej M.)

Gdy na dziewczynę zawołają: — Żono!
Już ją na taką godność namaszczone,
Że jest kapłańskiej dostojności bliska,
Bo ona świętą iskrę tę rozżarza,
Która u bogów domowych ołtarza
Jasnym i czystym płomieniem wybłyska.

Przy niej się duchy, przy niej serca grzeją:
Ona jest wiara, ona jest nadzieja,
Ona jest świętem żarzewiem miłości —
I już do szczęścia nie więcej nie trzeba,
Bo cud się pełni rozmnażania chleba
I cichy spokój łagodnie tu gości.

M. I.

Kobieta w XX wieku

STUDYUM

Juliusza Simona

Człon. Akad. fran.

i

Gustawa Simona

Doktora Medycyny.

(Dalszy ciąg).

IX.

Zawód, kariera.

Sam napis tego rozdziału wskazuje, że nastają czasy nowe, że dla dziewcząt będzie potrzeba oglądać się za zawodem, taksamo jak dla chłopców, czego przecież aż do naszych czasów nie było. A jednak autor powiada: „Wybór zawodu? oczywiście ma to znaczyć wybór męża“ — gdyż powołanie żony i matki to przyrodzony zawód, wszystko inne to wytwór stosunków. „Niema lepszych warunków szczęścia dla kobiety, jak nie mieć innego zajęcia, tylko staranie, żeby męża uszczęśliwić i dzieci dobrze wychować“. Są atoli i inne zajęcia, nie zawody. Oto kobiety przeciążone obowiązkami światowymi: magazyny, modne książki, widowiska, wizyty, spacery, bale, wieczory, poranki, kąpiele... one są wszędzie, prócz w domu; zajmują się wszystkim, prócz swoimi sprawami. Jeżeli to czynią bez żadnego ztąd pożytku dla męża, to na cóż mu się zdały? Jeżeli kobieta światowa pozyskuje dla męża klientów lub protektorów, jest użytecznym członkiem *spółki*, jej toalety są wtedy interessem... Kobieta światowa przywiązująca wagę do fatalaszków jest skończonym typem nicości ludzkiej. Nie jest niczem, nie robi nic, nie służy do niczego, a co najgorsza przytem, że jeszcze sama siebie zwykła brać seryo: Kobieta interessów nie jest kobietą, to spekulant w spódnicy. Jedna i druga nie ma serca. Tymczasem kobietą naturalną, jak Bóg przykazał, jest ta, która kocha bardzo męża i dzieci, myśli o nich ciągle, mówi o nich rzadko, która nie zaniedbuje żadnego obowiązku a przecież znajduje sposób, żeby nieco i bliźniego kochać i nie wyrzekać się świata i być zawsze przyjemną; kobieta bowiem, która nie stara się być przyjemną, popełnia grzech przeciw społeczeństwu; kobieta, która zapomina o tem, co męża dotyczy, popełnia grzech przeciw rodzinie; kobieta, która ponad wszystko nie stawia obowiązków, zawodu matki, popełnia grzech przeciw naturze; więc, jeżeli kobieta ma pod temi trzema względami być wzorową, to wybór męża

jest sprawą najważniejszą, gdyż ma on być dla niej przyjemnym towarzyszem w świecie, zręcznym kierownikiem spraw domowych, człowiekiem serca o głębokim uczuciu, o poważnej czułości. Dobrem małżeństwem jest to, które odpowiada i rozsądkowi i miłości. Jest ono dostatecznie rozsądnem, jeżeli tylko nie jest zgoła bezrozumne; skłonność oparta na szacunku i na pokrewieństwie uczuć więcej daje bezpieczeństwa, niż namiętność. Jest to bowiem naturą skłonności, że wzrasta; naturą namiętności, że mija.

Co do mniejszej lub większej swobody dziewcząt, sprawa zależy od wartości całego społeczeństwa. W Ameryce, jak wiadomo, są dziewczęta swobodne, mężatki zaś podlegają ścisłym konwansom. Społeczeństwo jest tam tego zdania, że dziewczęta potrzebują swobody, żeby szukać i wybrać; mężatki zaś już znalazły, co szukały, mogą więc ograniczać się w ścianach domu. Autor zadaje tylko pytanie: czy nie sądzisz pani, że u nas nieco więcej swobody w stosunkach byłoby pożądanem? Młodzi ludzie, nawet gdy się kochają, nie mają zwykle sposobności poznać się nawzajem, ani okazać czem są... Co do posagu autor przytacza dobre i złe strony. Jako dobre: troskliwość rodziców, większą swobodę wyboru; jako złe owo mniemanie, że posag uwalnia od pracy, i pokusy do oszukiwania się dla posagu. Dla robotnic tylko żąda autor posagu ze strony społeczeństwa, żeby, wyszedłszy za mąż, mogły być matkami i pracować w domu. Życzy autor społeczeństwu małżeństw, które się bez posagu dorabiają, ale ostatecznie kapituluje: „Nie przekonam: pozostaną posagi i w XX wieku, ale błagam, niechaj obok posagu staje praca. Dajcie córkom dobrych mężów, ale dajcie im i zawód, uzdolnienie do pracy“.

I mądrą i piękną jest w tej mierze apostrofa autora, którą się też godzi przytoczyć:

„Idź za mąż, moja córko. Jest to szczęście, bo jest to macierzyństwo; miłość jest tylko upojeniem, które mija. Potrzebujesz opiekuna; rozglądnij się jeno, toż najslabszy z mężczyzn zgniótłby cię. Potrzebujesz nawet pana: umysł twój jest wrażliwy i otwarty, lecz w chwilach wielkich brakuje mu czegoś, siły charakteru; on się łamie po wysiłku, słabnie po zmartwieniu, potrzebuje pomocy silniejszego. Jesteś rozmarzona, wierzysz w wiekiistość miłości. Wiekiistość, skłonności, przywiązanie, na to zgoda. Miłość znika wraz ze swem źródłem, z pięknosciami; jest ona nazbyt kruchą podstawą dla szczęścia. Trzeba starać się o związek dusz. Piękność duszy w tem jest wyższą od cielesnej, że wzrasta. Ciało jest zawsze tylko sługą, wyścierza, żeby było posłusznem i nie-wstrętne: dusza je upiśnię z czasem, wyciśnie na niem swoje piętno. Myśl o duszy tylko i bądź ostrożną. Kochanek, — to może człowiek przedwcześnie zużyty, który szuka siostry miłosierdzia, albo lichwiarz, chcący ubić interes, na którym ty się oszukasz. A bacz i na siebie, nie staraj się jego oszukiwać, gdyż w chwili wykrycia prawdy, on zmieniłby się we wroga, a wróg ten byłby twoim panem. Będąc jeszcze dziewczyną zajęta przygotowywaniem się do obowiązków życia, pamiętaj, że małżeństwo łagodzi wszelkie trudności życia, lecz nie usuwa ich. Twojem naczelnem zadaniem będzie podobać się mężowi i dobrze wychowywać dzieci. Lecz są i uboczne zadania, które mogą się stać głównymi, a którym trzeba sprostać. Mówię do ciebie poważnie, jak ojciec: należy przewidywać trudności, nawet nieszczeście. Jeżeli wychowanie robi z ciebie tylko istotę błyskotliwą i zachwycającą, to cię zgubi. Nie na to jesteś stworzoną, żeby być bożyszczem; zawód bożyszcza w końcu upokarza i nuży. Lubo mąż twój będzie panem w domu z natury i z prawa, przecież twoje obowiązki są może liczniejsze i surowsze, niż jego, a jeżeli tak jest, to ty będziesz pierwszą w godności, w rodzinie, jak w państwie, godność, honor mierzy się według ilości i znaczenia obowiązków. Otóż najpierw nie można zapominać o śmierci. Może ona cię porwać, zanim urobiłaś dzieci doskonale do cnoty; wypadek to straszny, a ztąd obowiązek: nie tracić ani minuty w dziele wychowania. Lecz może być mąż twój porwany; jakkolwiek zawód jego, walczy on dzień i noc. Pomyśl o położeniu wdowy z dziećmi. A podobne położenie sprowadza także choroba, kalectwo, które pozbawić cię może pomo-

cy męża, a nadto ty się musisz nim opiekować... Jeżeli będziesz oślepiona miłością, albo żądzą wydania się, o tem wszystkiem myśleć nie będziesz. Otóż trzeba, żebyś była świadoma niestałości wszystkich rzeczy i niestałości życia. Chrześcijaństwo nie każe żonom umierać z mężami, jak na Wschodzie bywało, lecz każe im żyć i podejmować ciężar, który wypadł z rąk męża. Jest to uświęcenie małżeństwa; nie piękniejszego, ale nie cięższego. Niechaj-że władza tak ogromna nie spadnie na ciebie znienacka; trzeba się przygotować do podłożenia jej“.

Oprócz przygotowania, którem jest wyrobienie charakteru, i umysł oświecony, potrzeba usposobić się do pracy, do jakiegoś zawodu. Każdy jest równie godny; wybór zależy od stosunków i wrodzonych skłonności. Nie sięgać wysoko, ażeby się na spadnięcie nie narażać. Nie dufać w majątek, bo to podstawa najniepewniejsza; lada przyczyna kruszy ją.

„Ostrzegam cię, córko, żebyś była przygotowaną cierpieć i jeżeli potrzeba pracować na życie własne i swoich. Obierz sobie zawód, choć jesteś bogatą; bądź gotową, żeby sobie i drugim służyć. Lecz przede wszystkim zdobądź i pielęgnuj zalety niezbędne w każdym położeniu. Bierz życie poważnie, umiej rozróżniać zwyczaje świata od praw natury, grymasy od obowiązku. Myśl o Bogu, gdyż bez niego słabość twoja powaliłaby cię. Dzieciom daj wiarę, jako broń przeciw losowi i przeciw namiętnościom; podnoś i umacniaj ich duszę, bo to w każdym położeniu najważniejsze. Żyj dla nich wobec Boga, wzrastaj sama i one niech wzrastają miłością i poświęceniem. Tylko poświęcenie jest wielkiem, tylko miłość jest silną“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEWOLNICA,

POWIEŚĆ

przez

Bronisławę Grabowskiego.

(Dalszy ciąg).

— Ależ ona może być twoją córką—zawołał—nie macie dzieci, możecie ją wziąć do swego domu, Bóg wie, jaką wam jeszcze radość i pociechę na starość zgotuje!

I nie czekając na odpowiedź, przystąpił do Niemca, któremu proponował od razu nowy kufel piwa i wzięcie młodzieńczej skrzypaczki pod swoje opiekę.

Niemiec kufel przyjął łaskawie, ale na drugą propozycję pokręcił głową.

— *Nein, nein*—mówił.—Anna pojedzie ze mną do Prus, tam będziemy ją uczyli. A przytem teraz musi zarabiać; daję jej przecież jeść, przytem wydałem ciężkie pieniądze na jej ubranie.

Stary szalbierz kłamał widocznie, bo dziewczynka miała na sobie starą, wytartą sukienkę, którą snadź jeszcze za dziadka nosiła.

Jeszcze Kołozzewicz próbował przekonać Niemca, że dziewczynka będzie mu tylko ciężarem, a sama się przy nim zmarnuje. Stary na wszystko kręcił głową i uparczywie swoje „*nein, nein*“ powtarzał. Upór ten podniecał sangwinicznego szlachcica, aż uciekł się do *ultima ratio* w wielu sprawach ludzkich, do... pieniędzy. Prostu oświadczył, że dziewczynkę od jej wrzekomego opiekuna odkupi.

Niemiec wytrzeszczył oczy z podziwienia.

— To jest—tłumaczył się Kołozzewicz—zwróć panu kosztą ubrania paniutki, oraz utrzymania jej do dnia dzisiejszego.

I otworzywszy woreczek jednym zamachem wyciągnął pięćdziesiąt rubli i pokazał je osłupiałemu ze zdumienia Niemcowi.

Snadź stary jeszcze nigdy w życiu takiej summy

nie widział, albowiem zrobił gest jakiś nieokreślony, w którym chciwość się przejawiała, i mruknął coś pod nosem, co można było wziąć za przyjęcie przedwstępnych kroków ogodowych.

Ponieważ nastał czas, aby i on coś zagrał, Kołozzewicz powrócił do oczekującego go niecierpliwie towarzysza.

— Słuchaj Justyn—mówił—ja mogę dać Szwabowi odstępnego pięćdziesiąt, sto rubli nawet, ale więcej już w tej sprawie zrobić nie mogę. Mam własne dziecko, nie mogę brać jeszcze na siebie drugiego, niepodobna mi zająć się wykształceniem malej. Ja zrobiłem swoje, ty rób dalej: jako bezdzietny otrzymasz od razu i pociechę, której ci los odmówił, i piękne zadanie do spełnienia.

Justynowi oczy zaiskrzyły się zapalem do spełnienia czynu, który mu się nastroczał, po chwili jednak opuścił głowę.

— Ale czy tylko żona się na to zgodzi?

— Dlaczego niema się zgodzić?—odparł szorstko szlachcic.—Przedstaw jej rzecz należyście, przecież nie jest tak niemądrą, aby nie zrozumiała, jak wiele na tem możecie z czasem zyskać, pociechy i sławy. Przytem bądź-że już raz mężczyzną i nie pozwalaj babie powstrzymywać siebie od dobrych uczynków.

Talski wstał i do domu pośpieszył.

VIII.

Nie podobna byłoby odmalować zdumienia, z jakim pani Walerya wysłuchała opowiadania i projektu męża. Wazkie jej usta zwały się jeszcze bardziej, a koło nich zjawiał się nader zagadkowy uśmieszek. Talskiemu wydało się nawet przez chwilę, iż pomysł jego trafił żonie do przekonania.

Gdy skończył, żona zaśmiała się szydlerczo:

— No, patrzaj—rzekła—jakie to myśli przychodzą ci do głowy! A to wszystko przez to włóczenie się po knajpach, z godnym kompanem swoim.

Talski osłupiał; zaczął znowu w krótkości wypowiadać swoje sprawozdanie, ale pani przerwała mu energicznie:

— Słyszałam już, słyszałam... nie praw jednego w kółko. A wiesz co? Myślałam, że jesteś bardziej pomysłowym!

I podparłszy się pod bok, mówiła dalej:

— I ty sądzisz, że ja pozwolę z mego domu zrobić dom podrzutków? A toż - byś ty chciał może zbierać wszystkich uliczników i wszystkie ulicznice, i wychowywać je u siebie!

Talski zdobył się na wysiłek energii.

— Nie nazywaj — rzekł tonem spokojnej stanowczości—podrzutkiem i ulicznicą dziecka sieroty, w którego duszę ręka Boża włożyła skarb talentu.

— Talentu! Czy to każdy, co smykem po skrzypkach wodzi, zaraz talent mieć musi?

Talski znowu zaczął opowiadać żonie o cudownej grze dziecięcej wirtuozki, charakteryzował ją nader wymownie; żona słuchała go czas jakiś, uśmiechając się szydlerczo, aż wreszcie przerwała mu:

— Nie darmo mi przed ślubem mówiono, że ty nad byle czem się unosisz. Sam stryjek radził mi, żebym cię tego koniecznie oduczyła, ale kto tam męzczyznę czego nauczyl! Przecież oni mają aż nadto rozumu!

Justyn ani myślał kapitulować. Przekonanie, że ma słusność, pragnienie dobrego czynu, które nęciło jego biedną duszę, spragnioną pożytecznej dla bliźnich działalności, dodało mu śmiałości i wymowy. Mówił głosem łagodnym, niemal cichym, ale z taką stanowczością, iż chwilami wydawało się, że pani Walerya mięknie, zastanawia się, zaczyna pojmować sprawę; naraz przecież, jakby otrząsała się z wrażenia, lękała się paroxyzmu słabości, cofała się przed pokusą ustępstwa i wtedy rzucała argument niby pocisk, który, jeśli nie zabija, to osmala twarz przeciwnikowi.

— Nie... nie... nie... gadaj sobie co chcesz. Nie jestem tak szalona, aby poświęcać się dla cudzego dzieciaka, jakiegoś przybłądy, który nam napewno niewdzięcznością się odplaci.

A potem, przechodząc z obronnej pozycji w zaczepną, dodała:

— Czego ty cudze sprawy tak gorąco bierzesz do serca? Chyba dlatego, żeby cię ludzie jako fi-

lantropa sławili! O swoich dba bardzo mało, a za obcymi poszedłby na dno przepaści. Wiele też dobrego ludzie zrobili nam w życiu!

— Nie mówiłabyś tego — odparł mąż, oburzony taką bezczelnością samolubstwa. — I ja niejednego dobrego od ludzi doznałem, a i ty niejedną dług wdzięczności zaciągnęłaś. A jeśli nie możemy wywdziżyć się naszym bezpośrednim dobroczyńcom, spłacajmy dług innemu jakiemuś przedstawicielowi ludzkości.

— Komuż-to ja mam coś do zawdzięczenia? — spytała Talska z jadowitem szyderstwem.

— A choćby opiekunom, którzy ciebie, sierotę, przysparzali i wychowali.

— Jaśnie wielmożni senatorowie! Czy tak? Mieli ze mnie służącą, której płacić nie potrzebowali! A gdy się im niewolnica uprzykrzyła, to ją pierwszemu lepszemu, co się nawinało, w niewolę zaprzędali.

Kobiety jedynie mają odwagę rzucić w oczy przeciwnikowi zarzuty, których niesłuszność i niedorzeczność same czują aż nadto dobrze. Nie oglądając się na nie zaciekłość niewieścia nie namyśla się nad wyborem broni, chwytając najbliższy pocisk, kamień, drewno, choćby garść błota, mając tylko to na względzie, aby jaknajdotkliwszy cios zadać. Jedną chwilą uniesienia, złości niewieściej gotowa rzucić na pastwę grzesznego zadowolenia całą przyszłość cudzą i... swoją.

Talski poczuł, że słowa niebacznej małżonki trafiły go w serce głęboko, bardzo głęboko — i po raz pierwszy w życiu spojrzął na nią wzrokiem tak okropnym, iż zadrżała chwilowo. Potem, jakby lekka się, aby we wzburzeniu swym nie powiedział lub nie uczynił czegoś, czego później mógłby ciężko pożałować, chwytając się krokiem wyszedł do swego pokoju.

Chciał pracować, czytać coś, próbował nawet pisać, ale nie mu się nie udawało. Myśli wrotały w nieszczęsnej, zmęczonej głowie, to znów snuły się powolnym, rwącym się ciągle pasmem, a w sercu tkwił ostatni pocisk, którego żadną miarą pozbyć się nie mógł.

Sen uspokoił go nieco. Do śniadania siadł w milczeniu, z piekącą raną we wnętrzu swej istoty i pełnym wyrzutu wzrokiem spojrzął na żonę, również w milczeniu siadającą do stołu. Na jej bladej twarzy, w jej ustach ściśniętych przebiła się jakiś przykre uczucie — widocznie: tryumf nad mężem nie przyniósł jej radości i uciechy, raczej głębokie niezadowolenie.

Talski wyszedł wcześniej z domu, zamiast jednak do biura skierował swe kroki ku mieszkaniu Kołoszewicza. Spotkał go na drodze.

— A niech cię nie znam! — zawołał szlachcic. — Czekalem na ciebie, póki światła nie pogaszono.

Justyn opowiedział mu w krótkości rozmowę z żoną.

— Spodziewałem się tego — mówił Kołoszewicz. — Już-to twoja jejmość, kiedy jej co mówię, to wnet ci usta zamurują.

— Sluchaj, Władek, ja będęłożył na utrzymanie i naukę dziewczynki, ale ty weź ją do swego domu.

— Ha, cóż robić? Żona mi także to samo powiadała. Gdzie gotują na troje, tam się i czwarte pożywi, a co się tycze nauki, zwłaszcza owej muzyki, i na to się zdobędziemy, bo przecież tobie żona całą pensję zabiera... Chodźmyż więc do Niemca coprędzej, żeby się czasami nie rozmyślił.

Obaj koledzy pędzili żwawo na drugi koniec miasta, gdzie była owa restauracyjka. Tam wszystko spało jak zarżnięte, nie dziw: zabawy „wieczorne“ zwykle do trzeciej w nocy się przeciągały. Ledwie dobudzono się jakiegoś posługacza od otwierania bramy, który, klęcząc, aż włosy na głowie powstawały, oświadczył, że stary Niemiec ze skrzypaczką jeszcze w nocy wyszli, ale gdzie, niewiadomo.

Ponieważ był czas iść do biura, Talski poszukiwania zlecił byłemu koledze. Kołoszewicz sumiennie spełnił swoje zadanie, obiecał całe miasto, nigdzie jednak poszukiwanych nie znalazł. Na przedmieściu tylko dowiedział się, że widziano przed świtem grajka z dziewczynką, którzy, jak się zdawało, opuszczali miasto.

Gdy zdał sprawę przyjacielowi, Talski potrząsnął głową smutno i rzekł:

— Rzecz jasna... Niemiec czuje, że mała niewolnica zarabia dla niego na kawałek chleba. Piwo i pieniądze skusiły go chwilowo, jednakże później zrozumiał cały interes i uszedł w obawie, abyśmy mu niewolnicy nie wydarli.

— Muszę ją z jego szponów wydobyć, muszę! — powiedział gniewnie Kołoszewicz. — Nie mogli odejść daleko... grywają pewnie gdzieś w pobliżu miasteczku... Znajdę ich, znajdę... i wtedy, choćbym miał użyć przemocy, wydrę dziecko Szwabowi.

I wynajawszy furmankę, puścił się w drogę. Po drodze wypytywał ludzi o wędrownych skrzypków i, jak zwykle bywa w podobnych razach, otrzymywał nader bałamutne wskazówki — jedni mówili, że stary z dziewczyną udali się w tym kierunku, inni znowu, że w innym; Kołoszewicz wszelako, człowiek doświadczony i bystry, pomiarkował, czego się trzymać, i jakoś dobrze jechał za śladem. Ale na drodze był wielki las, poza którym zniknął ślad wszelki. Nikt z ludzi nie widział grajków, nie było ich także w miasteczku, ani w okolicy. Po daremnych poszukiwaniach szlachcic powrócił do Płonnicza.

Talski był niepocieszony.

— Taki śliczny talent — mówił z żalem i boleścią — i zmarnieje na nie! Oh, rozumiem ja dobrze przekłętą szwaba: jemu szło o to, aby nie stracić wyrobni, która na niego zarabia, bo cóżby on sam swoim lichem graniem zarobił? Powtórzyła się tutaj historia tych dziadów ślepców, którzy własnych synów i wnuków oślepiają, żeby mieli towarzyszy i współników w swej wędrownie żebractwie.

Kołoszewicz nie posiadał się z gniewu.

— Żebyś był przyszedł wtedy do restauracji z ultimatum twojej żony, byłbym wiedział, czego się trzymać. A tak, to z twojej łaski...

Głęboki smutek, malujący się na twarzy Talskiego, zatamował potok wyrzutów, które cisnęły się mu na język; owszem, poczuł się nawet do obowiązku pocieszenia towarzysza.

— Jeżeli to jest talent prawdziwy — mówił innym już tonem — Opatrzność zmarnieć mu nie pozwoli. Nie tu, to gdzieś na świecie znajdzie się człowiek, który i pozna się na talencie i zajmie się jego wykształceniem.

— Chyba w Niemczech, nie u nas — rzekł smutno Talski — bo u nas znajdzie mecenasa tylko koń cyrkowy lub szansonierka ogródkowa. W każdym razie zubożeni zostaliśmy o jeden dobry czyn w życiu.

IX.

Pani Walerya nabrała teraz najniespodziewaniej ochoty do czytania. Z czytelni przynosiła służącą całe narażca książki, samych romansów i to wyłącznie tłómaczonych. Pan Justyn nie wytrzymał i zrobił jej uwagę, że należałoby zapoznać się i z naszymi autorami.

— Ach, daj mi pokój — odpowiedziała — ja chcę rozerwać się w tych kłopotach i nudach, nie zaś uczyć się... literatury.

Czasami zwracała się do męża, podając mu katalog.

— Proszę cię, wybierz mi co, bo mnie już konceptu brakuje.

Mąż pominął w katalogu autorów swoich — bo cóż było robić? — i wybrał „Dawida Copperfielda“ i „Dyabła Kałuże“. Niestety, wybór ten okazał się nader nieszcześliwym. Pani małżonka porzuciła Dickensa w połowie tomu, a panią Sand, nie doczytawszy piątej stronicy.

— Miałeś mi też co wybrać! — rzekła wzgardliwie.

— Ależ, na Boga, Dickens, ozdoba literatury angielskiej!

— Dla chwały Anglików ani myślę zanudzać się na śmierć... Co to mi tam obchodzą jakieś dzieciaki w szkole, albo statek rybacki... Sam tego pewno nie czytałeś... Przeczytaj, zobacz, jakie to nudy.

— Przepraszam cię — zaprzeczył mąż energicz-

nie — Dickensowi zawdzięczałam najpiękniejszą i najpożyteczniejszą lekturę mej młodości. Powiadam ci, że każda jego powieść lepszym mię czyniła.

— To ty chyba jeden jedyny na świecie szukasz kazań w powieściach.

Na ten argument mąż zacisnął usta, aby z nich nadaremnie ostrego pocisku nie wyrzucić. Wiedział aż nadto dobrze, iż pani Walerya jest należyście opancerzona, a na każdy pocisk gotowa odpowiedzieć całym gradem o wiele ostrzejszych, głębiej raniących. Po chwili jednak zapytał:

— A dlaczegoż ci się pani Sand nie podoba? Czyż nigdy nie słyszałaś o niej?

— Czegoż nie miałam słyszeć? — odparła pani Walerya obrażona. — Czy myślisz, że się ja gdzieś za piecem w zaścianku chowałam? U cioci-senatorowej nieraz o pani Sand mówiono.

— A więc wiesz, co to za znakomitość?...

— Tylko przebac, że nie przepadam za książkami o chłopach. Chłopi nie ciekawi są w naturze, a cóż dopiero w książce!

— Powiedz mi więc ostatecznie: co jest w twoim guście?

— Ja lubię powieści w dobrym tonie.

— To jest z tak zwanego wyższego świata.

— Rozumie się.

— Dziwię ci się bardzo. Co może być zajmującego w tym świecie ludzi, których zacieśniony widnokrąg doprowadza do czegoś głowy i płytkości uczuć, którzy duszą się w nieodświeżanej atmosferze pachnideł salonowych, ceremonii towarzyskich i... przebac, ale tak jest, nieinaczej... kolosalnego próżniactwa? W tej niezdrowej atmosferze panuje grzeszna obojętność na interessa i cierpienia tłumów, nawet na interessa sztuki i literatury, o ile nie noszą one na sobie marki egzotycznej. Za to idzie tam subtelna gra wynaturzonych namiętności, wysubtylizowanych czułości, drażliwego do ostatecznych granic ceremoniału, obyczajowości, osnutę na natychmiastowym przedrzeźnianiu najniedorzeczniejszej mody znad Sekwany. Nie mogę czytywać z zimną krwią romansideł z tego świata, bo jego flirt wydaje mi się obrzydliwą rozpustą ducha, a śmiesznymi tylko są w moich oczach cierpienia tych miniaturowych serduszek, zbyt drobnych, aby odczuwać wielkie bóle, które jedynie godne są współczucia i gojącego balsamu.

Już dawno pan Justyn nie wypowiedział czegoś przed ludźmi z taką siłą przekonania. Była to część, znaczna część, jego programu życiowego, mającego pozór pewnego demokratyzmu, lubo Talski od lat najmłodszych nigdy nie był mamelukiem żadnego stronnictwa. Żył w nim jedynie głębokie przekonanie o potrzebie pracowania dla dobra współbłżnich, i od tej potrzeby, tego obowiązku, nie zwalniał nikogo, a tem mniej klasy, którą los wyzwolił od powszedniej tortury braku i nadmiernego trudu.

Pani Walerya na mówiącego z zapalem podniosła oczy z pewnym łagodnym uśmiechem — i męża ogarnęło błogie przecucie, że może choć raz przemówił jej do przekonania. Tymczasem myśli się wiele: ja tylko bawił dźwięk wyrazów książkowych, niezwykle brzmiących w mowie potocznej, dźwięk, który nawet sprawiał jej pewną przyjemność.

Gdy Talski skończył, odrzekła mu z olimpijskim spokojem:

— Wszystko to piękne, nawet bardzo piękne, ale cóż, kiedy ja wolę ludzi pięknie ubranych w eleganckim mieszkaniu, aniżeli brudnych obdartusów z rozwalonej chałupy?

Talskiego przejął zimny dreszcz, jakgdyby ktoś nań niespodzianie strumień wody wypuścił.

Talska po całych dniach zaczytywała się w swoich romansach ulubionych, okropnie narzekając przytem na nawał pracy i kłopotów domowych i na absolutną niemożność utrzymania domu w należytym porządku. Z romansów przejęła niezadługo rozmaite choroby wielkopańskie, niedyspozycje humoru, żołądka, migreny i zdenerwowanie. Przytem poczęła marzyć, i to wyłącznie o podróżach.

— Ach, mój drogi — mówiła do męża — jakże-bym chciała być choć raz w życiu w Palermo!

Ten cudny klimat sycylijski uzdrowiłby mnie na pewno.

Było to po przeczytaniu którejś z powieści Ovidy.

— Połowę życia dałabym, żebym mogła z miesiąc przemieszkać na Rivierze — mówiła znowu, trzymając jakieś inne romansidło angielskie w rękę.

To znowu miała zachcenie Kairu i Piramid, a zawdzięczała to nowe zachcenie Estei, jedynej autorce swojskiej, którą wzięła do ręki, złudzona nieco z obca brzmiącym pseudonimem.

Zapowiadała ciągle, że musi wyjechać, by się udusił w nudnej, jednostajnej atmosferze płożniczej.

Pewnego dnia oświadczyła zdumionemu mężowi:

— Mój drogi, przygotuj mi pieniądze na wyjazd. Pojutrze wyjadę w gub. Płocką do rodziny, Paczanowska bardzo serdecznie mnie zaprasza.

— Co to za Paczanowska? — zapytał Taski.

— Jak to nie wiesz? Bliska nasza krewna. Przecież widywałeś ją u ciotki.

Panu Justynowi przypomniała się jejmość zawalista, rumiana, z czerwonymi rękoma, w sukniach dość wykwinnych, ale według mody zprzed piętnastu lat. Widował ją istotnie u senatorowstwa, jak całowała ręce i kolana senatorowej, jak nazywała ją aniołem opiekuńczym rodziny, najlepszą ciocią na świecie, a senatorowi prawiała komplementa, mówiąc mu w oczy, że jest najbardziej poważanym dygnitarzem w kraju, że słowo jest niemal wszechpotężne, i t. d., i t. d. Senatorowstwo przyjmowali owe panegiriki z uśmiechem skromności, przerywając czasami wygadanej jejmości:

— Ach, co też kuzyna powiada? Niech też kuzyn tego nie mówi!

Pomimo to Talski był świadkiem, że skoro tylko drzwi zamknęły się za jejmością, senatorowa, wzruszając ramionami, rzekła półgłosem do męża:

— *Ah, cette Paczanowska! Encore cette Paczanowska!*

Była to rodzeniutka siostrzenica senatora, żona właściciela małego folwarku na piaskach mazowieckich. Mieli oni mało gleby, ale za to gromadkę dzieci, a zatem trudny problemat do rozwiązania, zwłaszcza, gdy to wszystko podrasnąć zaczęło.

Paczanowska przywoziła senatorowej kur, masła, jaj, płótna bielonego i zgrzebnego, aby — jak mówiono u nich na wsi — „mieć dobre oko“; za to w zanadru ukrywała zawsze jakiś interes. O ile senatorowa mile widziała to nadbudżetowe pomnożenie zapasów domowych, o tyle senator zżymał się niesłychanie o przymnażanie mu kłopotów z protegowaniem krewniaków, do których przyznawał się niezbyt ochoczo. Paczanowska wymodliła zawsze coś u senatora: to pomieszczenie syna, niedouczonego wyszłego z trzeciej klasy, to stypendyum dla córki w gimnazjum, to znów przeniesienie owego synka z jednego biura do drugiego, to list protekcyjny do jakiejś władzy, gdzie się toczyła ich sprawa, a gdy jeszcze w dodatku zrzeczenie przymówiła się o jakiś niby niepotrzebny sprzęt domowy lub kuchenny, senatorowstwo przyszło do niezbyt miłego przekonania, że dary i komplementa Paczanowskiej kosztują ich... trochę za drogo.

Do tej-to krewniaczki, a właściwie powinowatej, bo Talska była krewną — senatorowej, pani Walerya wyjechała, już-to skuszona bardzo łatwą do zrozumienia chęcią zmieniienia miejsca pobytu, już-to ujęta listem, pełnym najwyszukańszych komplementów i pochwał. Pani Justynowa żadnego jeszcze romansu nie odczytała z taką rozkoszą, jak ów list nadspodziewany.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z AMERYKI

— Wystawa Kolumbowa Zjednoczonych Stanów Ameryki „World Columbian Exposition“ otwarta

zostanie d. 1-go Maja 1893 r. z trwaniem do 30-go Października... oto zawiadomienie urzędowe przesłane wszystkim ambasadorom, konsulom i korespondentom pism zagranicznych, a które powolny wasz sługa z kolei wam przedstawia. Wystawa, „World's Fair“ czyli „Jarmark świata“ jak się tu mówi potocznie, ma sobie przyznane na koszt wzniesienia swego ze strony rządu Stanów Zjednoczonych 1.500.000 dollarów, miasta Chicago, na którego gruncie ma stanąć, dało 5.000.000 dollarów, wypuściwszy odpowiednią ilość akcyi, które tak w cenie swej wzrosły, że majątek wystawy, włączając w to opłatę za miejsca, doszedł do bajecznej jak dla nas summy 15.000.000 milionów dollarów. Już to stosunki amerykańskie nie dają się w niczem porównać z naszymi i sama historia gruntu, na którym wystawa się wznosi, wydawać nam się może bajką z *Tysiąc Nocy i Jedna*. Na początku naszego stulecia na miejscu, które dziś stanowi centrum miasta: ulica Dearborn, stała nad brzegami jeziora Michigan forteczka, pilnująca przeciwko napadom krajowców, czerwono-skórych Indian, przeprawy przez jezioro. W 1843 r. Chicago liczyło 7.580 mieszkańców, w lat dziesięć potem już ich ma 161.300, ostatni zaś spis ludności dokonany w 1890 r., podaje liczbę 1.252.000 mieszkańców, a rozległość jego wraz z przedmieściami przedstawia 150 angielskich mil kwadratowych, a jest ono ogniskiem 26 kolei żelaznych.

Panujący tu ruch kolei miejskich konnych i linowych może dać zawrót głowy, ja przecież przybyłem tu już zahartowany przez pobyt w Nowym-Jorku, którego ulice, długości nieskończonej, jak się zdaje nowicuszowi z Europy, wyciągnięte pod sznur, mają po nad sobą, oprócz sieci drutów telegraficznych, na wysokości drugiego piętra domów wiszący pomost, po którym pociągi kolei leżą jeden za drugim. Tutaj komunikacja wodna daje inny charakter ruchowi miejskiemu. Rzeka Chicago przepływa miasto dwoma ramionami, wpadając do jeziora; doki, oraz kanały przeprowadzone w różnych kierunkach, dostępne są dla wielkich nawet okrętów, a dodać należy, że brzegi rzeki, oraz kanałów, łączy ze sobą 36 mostów żelaznych, które przecież ruchome są i, obracając się na osi swojej, przepuszczają okręta. Nie poprzestając jednak na tych środkach komunikacji, stworzono sobie jeszcze kolej podziemną i dwie linie kolei linowej.

Miasto całe jest, w ogóle biorąc, bardzo piękne; bogactwo, którzy je zamieszkują, usiłują czynić zadość wymaganiom estetycznym, szczególniej przecież brzegi jeziora są zabudowane przez pałacyki wcale ładne, wzniesione nie wyżej niż na trzy piętra, przytem ulice są wysadzone drzewami, przed domami ogródki bardzo wdzięczne, chodniki ulic szerokie i panuje tu pewien spokój miły, a powietrze przez sąsiedztwo jeziora, czyste i ożywiające, bez mgły i sadzy z węgla kamiennego. Amerykanie lubują się bardzo w kwiatach, a ten gust dobrego, zaznaczający się bardzo w Chicago, wystąpi też po magnacku i na wystawie. Na koszt oddziału kwiatowego zarząd wyznaczył ogromną sumę 750.000 dollarów, obok tego na wzniesienie pawilonu kwiatowego wyasygnowano 350.000 dollarów.

Na jeziorze Michigan kursować będzie przez cały czas wystawy statek żaglowy, przedstawiający najwierniej okręt „Santa Maria“, na którym Kolumb przebył ocean i przybił do brzegów Ameryki. Już to pamiątkom po Kolumbie wyznaczono tu miejsce bardzo obszerne, a wątpić nie można, że dział ten będzie budził silniej ciekawość ludzką, niż nowoczesne okazy przemysłu. Wśród stosunkowo licznych tych okazów pamiątkowych znajduje się dzwon ofiarowany przez królową Izabellę do pierwszego kościoła wzniesionego na gruncie Nowego Świata, krzyż z mahoniowego drzewa postawiony przez Kolumba, oraz armata i kotwica statku na którym genialny żeglarz przybił do brzegów Ameryki.

I starożytności Ameryki będą tu mieć miejsce swoje. Meksyk wystawi świątynię Azteków, Guatemala najstarszy pałac miasta Antigua, Kolumbia podobiznę swego Kapitolu, Ecuador świątynię słońca wedle rysunków zachowanych w archiwach. Brazylia buduje pawilon mający zająć 900 stóp kwadratowych, i ma wystawić kaskadę (tak

się wyraża dokument urzędowy), z kryształów brazylijskich.

Pamiątek po Kolumbie usiłują tu odszukiwać bardzo troskliwie. W parku miejskim, zwanym Jackson, zbudowanym będzie w możliwie najdokładniejszej kopii, klasztor La Rabida, z hiszpańskiego miasteczka Polos, gdzie niegdyś Kolumb zubożały i zmęczony trudami ciężkiego życia, nie mogąc znaleźć nikogo, kto by dał posłuchanie jego genialnym pomysłom, schronił się, szukając odpoczynku i spokoju wśród którego ciszy mógłby się oddać badaniom teorii, stanowiących grunt jego nieśmiertelnego czynu. Gdy wreszcie wielka myśl dojrzała mu już w umyśle, tu, przed puszczeniem się na wody Oceanu, słuchał mszy i ztąd wyruszył, aby wrócić tu znowu, znudzony trudami, złamany przeciwnościami życia, podkopywanego przez zazdrość i ciemność ludzką. Obecnie miejsce to wielkiej pamiątki, nie tylko dla Hiszpanii, zaniedbane, zapomniane przez dzisiejszego pokolenie, żyjące przeważnie gorączkowym ruchem interesów chwili, zamienia się już w ruinę i amerykański budowniczy, Franklin Smith, zamierza odtworzyć jego podobiznę w naturalnej wielkości, aby stanowił budynek pamiątkowy, poświęcony czci Kolumba.

Nie tylko Stany Zjednoczone obchodzić będą uroczystości rocznicę wielkiego czynu genialnego żeglarza: Ameryka Środkowa, Ameryka Południowa, pragną też mieć tu udział jakiś. Istnieje również zamiar wzniesienia Kolumbowi pomnika — posągu jego na wyniosłości granitowego wzgórza, zwanego dla kształtu, jaki przedstawia: „Głową cukru“, a wznoszącego się w okolicy Rio de Janeiro wśród lesistej płaszczyny. Włoski magnat, książę Veragana, wywodzący ród swój w prostej linii od Kolumba, jak wykazuje, ogłosił konkurs międzynarodowy, z nagrodą 30.000 franków za napisanie najlepszej historii jego życia. Istnieje jakoby autentyczny wizerunek Kolumba, będący własnością francuskiego pana, księcia Talleyranda, z podpisem łacińskim, ale tego nie dostaniemy tutaj, ponieważ właściciel przyrzekł przesać go Genni, która także pragnie urządzić wystawę pamiątek po wielkim ziomku swoim, jak utrzymuje.

Księgarz londyński, Quaricht, zapowiedział zarządowi wystawy w Chicago nadesłanie autografu Kolumba, którego nabycie w pewnej po-klasztornej bibliotece opłacił 5.000 dolarów i niewątpliwie znajdzie się tak niejedna podobna pamiątka, w przedmiotach i dziełach, mających styczność z pamięcią wielkiego podróżnika, lecz myśl, która dała natchnienie wystawie, nie miała nigdy na celu zaciśnięcia jej wyłącznie do pamiątkowego obchodu oddania hołdu jego pamięci. Będzie tu także miała jeden oddział wystawa podbiegunowa. Budynek, który ją pomieści, będzie przedstawiał podobiznę góry lodowej, w której wnętrzu zamieszka rodzina Eskimosów, złożona z kilkunastu osób, i rozkładająca tu, jak u siebie, całe gospodarstwo, złożone nie tylko z oryginalnych sprzętów i przyborów życia, ale posiadająca jak w lodowych pustyniach ojezyny swojej, stada reniferów, oraz psy zaprzęgane do sanek. W każdym razie zapowiada się tu coś kolosalnego, przewyższającego o wiele wszystkie wystawy dotychczasowe. Zamiar wzniesienia podobizny wieży Eiffel, nie został przez zarząd przyjętym głównie z przyczyny, że po skończeniu wystawy wszystkie jej pawilony, wszystkie budyńki zostaną rozebrane i tylko celem uczczenia pamięci wielkiego odkrywcy, zbudowanym będzie gmach w stylu staro-hiszpańskim, noszący nazwę Domu Kolumba a wysoki na piętnaście, wzniesiony kosztem 1.000.000 dolarów. Dwie wielkie tarcze brązowe, przybite z dwóch stron głównego wejścia, obwieszczać będą przez wyrty na nich napis, czyjej pamięci i w dowód jakich zasług zostały wzniesione te mury. „Dom Kolumba“ ma być wykonany zupełnie na dzień 1 Maja 1893 r., mieszcząc obok odpowiedniego muzeum, oraz biblioteki podróżniczej wyższą szkołę nauk przyrodniczych i geografii żeglarskiej.

Jak tu pragną, aby zapowiedziana wystawa przewyższała wszystko, co w tym kierunku było znanem dotąd, dość powiedzieć, co kosztować ma jej urządzenie. Wystawa mieścić się będzie na wyspie, mającej 16 akrów powierzchni, której 10 akrów przeznaczono na same kwiaty. Będzie to ni-

by królestwo zaczarowanej księżniczki, bo brzegi wyspy zostaną otoczone najrzadszymi i najpiękniejszymi roślinami wodnymi.

Gmach na pomieszczenie maszyn ma się składać z trzech części: trzech pałaców, połączonych ze sobą galeriami, szerokimi na stóp 50; budowa cała, trzymająca w stylu Odrodzenia hiszpańskiego, zwiąże się z gmachem rolnictwa przez wspianą kolumnadę, której brama dawać będzie widok na plac wystawowy. Przed bramą stanie obelisk z wodotryskami u dołu. Gmach rolnictwa ma co do wielkości i wspianości przyznane sobie drugie miejsce po gmachu administracji, a zajął on prostokąt 800 stóp długi, 500 szeroki, zatem obszar znaczny. Trzymany w stylu starogreckim, składa się z szeregu kolumn korynckich, powiązanych ze sobą łukami. Brama, ma po każdej stronie swojej cztery takie kolumny, a tworzy podstawę do rotundy o stu stopach średnicy, 130 szerokości, pokrytej kopułą szklaną i gmach rolnictwa uznany został za najbardziej stylowy i piękny bardzo.

Niepodobna mi opisywać wam wszystkiego i szkicować tylko muszę przedstawiane wam obrazy. Pałac murytański, zajmujący przestrzeń 200 stóp szeroką a 250 długą, obiecuje coś wspianego, kosztą jego budowy wyniosą też przeszło 400.000 dol., a nagromadzone tam okazy będą niewątpliwie bardzo zajmujące. Niejaki M. Stephani otrzymał pozwolenie urządzenia w obrębie dziedzińca wystawy własnej, w której skład wchodzić będzie między innymi piramida złota, ułożona z monet różnych narodów, przedstawiających wartość 10.000.000 dol. a pokryta tylko kopułą szklaną. Że podobny okaz mógłby skusić niejednego amatora rzeczy błyszczących, znajdować się będzie dołem, to jest już pod ziemią, skrzynia żelazna, połączona tak drutami elektrycznymi z kopułą, że dość będzie nacisnąć guzik elektryczny, aby skarb zniknął z przed oczu, zbyt pożądliwie nam patrzących i zamkniętym został w żelaznej oponie, do której dostać się już nie łatwo.

Ale czego tu nie będzie? Malarz monachijski Peterson, zawezwany został do sporządzenia wielkiej panoramy marynarki Stanów Zjednoczonych, najwspanialszego ze znanych w tym zakresie dzieła, i przebywa właśnie w Nowym-Jorku, już pracą tą zajęty. Lecz rzeczą niewątpliwie najciekawszą i nietylko ze względów ciekawości szczególnie wśród nagromadzonych tu przedmiotów zajmującą, będzie wystawa Edisona. Zażądał on w budynku dla wystawy elektryczności przeznaczonym, 35.000 stóp miejsca, to jest siódmej części całego gmachu, utrzymując, że potrzeba mu koniecznie tej przestrzeni, i dodając, że to, co tam przedstawi, będzie najważniejszym dziełem jego życia i epoką, nietylko w nauce, ale w przemyśle — w pracy ludzkiej, którą pchnie na inne tory. Dwóch z Europy elektryków: Siemens i Halske wystąpią też z demonstracjami swoich wynalazków i odkryć w tej gałęzi.

Komitet kobiet z prezydentką swoją, M-rs Palmer, na czele, pracuje tu pilnie nad takim urządzeniem wystawy pracy kobiecej, aby przedstawiła wszystko, co wśród nowożytnego rozwoju pracy może tu być potrzebnym i rzeczywiście pożytecznym postępowaniem. Okazy te zgromadzone będą w oddzielnym, bardzo pięknym budynku, stylu włoskiego odrodzenia; plan nakreśliła już młoda panna, zaledwie dwadzieścia jeden lat mająca, miss Zofia Hayden, która skończyła całkowity kurs architektury i posiada wszystkie kwalifikacje potrzebne w tym zawodzie pracy. Sekretarka jest panna Zuzanna Gale Cook. Delegatek wszystkich Stanów Północnych jest 105. Niektóre z tych delegatek wysłał komitet do Brazylii, do Ameryki Południowej, dla uzyskania jaknajwiększego udziału wystawczyń, co znaczy zarazem najdokładniejsze przedstawienie obrazu pracy niewieściej. Plan pawilonu kobiecego wyszedł z konkursu, na którym wspomnianej Zofii Hayden przyznano pierwszą nagrodę, 1.000 dol., powierając jej zarazem jego wykonanie. Wzniesie się on w północnej stronie wystawy w położeniu bardzo pięknym, na tle starego dębowego lasu, otoczony kwiatowymi klombami, mając przed sobą srebrno-błękitne zwierciadło wody — małe jeziorko, otoczone zielonością. Z jednej strony tego przybytku nie-

wieściej pracy stanie pawilon ogrodnictwa, otoczony również najpiękniejszą roślinnością, z drugiej gmach Stanu Illinois. Komitet kobiecej postanowił też urządzenie wśród swego pawilonu wzorowej kuchni, co pokazuje, że Amerykanka nie pogardza bynajmniej pracą kobiety gospodarza, pracą w rodzinie, żądając tylko, aby inne działy ludzkiej działalności nie były zamkniętymi dla niej, jeżeli okoliczności życia, lub ujawniające się w niej powołanie jakieś, jakiś talent wyższy nie wywoła jej na inną arenę działalności. Pomieszczonym tu będzie również wzorowy szpital, oraz wzorowa ochronka wedle planu freblowskiego tak zwanych ogródków dziecińczych, więc i ta tradycyjna praca kobiety, praca wychowawczyń i siostry miłosierdzia, pominięta nie zostanie, tak jak wszystkie najskromniejsze rzemiosła kobiece: przędzenie, tkanie płótna. Lecz zarazem nie zapomniano tu i tych zajęć, które kobieta dzieli z mężczyzną w przemyśle, jako pomocnica, lub współpracownica, przyczem pomieszczoną została w katalogu uwaga, jakim jest udział kobiety w tych gałęziach pracy ręcznej i fabrycznej, na której czele stoi mężczyzna i która zład całkowicie liczy mu się do zasług społecznych.

Mamy tu na miejscu przykład takiego współprawnictwa kobiety. Kolonia nasza w Chicago liczy 6.000 osób, istnieje też tutaj od lat kilka nasza szkoła chorób kobiecych z Dr. Rewkowskim na czele, lecz sekretarzem jego i pomocnikiem jest kobieta Orglest-Kaczorowska, posiadająca stopień doktora medycyny i pracująca po połowie z Dr. Rewkowskim. Mimo zajęć swoich, mimo wyższej nauki z zakresu przynależnego głównie mężczyznom, pani ta zachowała całą tradycją obyczajów i tkliwość uczucia kobiety — kobiety naszej i zajmuje się z iście macierzyńską troskliwością chorem i dziećmi, naszymi szczególnie i nie opuszcza żadnej sposobności oddziaływania na ich matki; rozświecając ich wiedzę wychowawczą wiadomościami z zakresu higieny zwłaszcza.

List mój rozszerzył się może nad miarę, więc należy mi go przerwać z tą myślą przecież, że użyćcie mi od czasu do czasu miejsca na kilka wierszy, których pisanie przynosi mi niewystawioną przyjemność.

Hugon.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CII.

Bawidełko, sztuka w 4-ach aktach (5-ciu odsłonach), Edwarda Lubowskiego.

Bogata właścicielka dóbr, którą stary mąż odumarł, a młody nie pocieszył, p. Stalicka, wzięła sobie dla rozerwania nudów dziecię miejscowego sługi folwarcznego Macieja, Hannę na wychowanie, później na przybraną córkę. Ta Hanna jest właśnie *Bawidełkiem*. Dumna pani odsuwa rodziców dziecka daleko od domu, w którym wychowuje Hannę, przenosi ich gdzieś o wiele mil, kładzie im nawet za warunek, aby noga żadnego z nich nigdy we dworze jej nie postąpiła. Wzajemnie za to, wyposażywszy ich już odrazu, później jeszcze o nich pamięta — co przy wielkiej fortunie przychodzi jej z łatwością. Jest to wymiana dziecka na pieniądze, chociaż niema wyraźnego targu. Sprzedaż źle opłaciła się Maciejowi: rozpił się i zamiast za srebrniki swoje fortuny się dorobić, zbiedniał a w biedzie pocieszycielkę znajdował tylko w gorzałce. Kiedy już dziecię wyrosło na panienkę ze dworu, matka przypominała sobie swoje prawa i oboje rodzice w pierwszym akcie zjawiają się we dworze, po swą własność. Pani Stalicka po oporze przystaje, jeśli tylko Hanna się zgodzi. Hanna się nie zgadza, zostaje u swej przybranej matki, a starzy odchodzą i znikają zupełnie ze sztuki. Opiekunka zajmując się losem swej wychowanki, umyśliła ją wydać za siostrzeńca swego, hrabiego Stefana. Potajemnie kocha się w dziewczęciu So-

śniak, dziecię ludu, leśniczy miejscowy; jej serce jednak ani dla jednego ani dla drugiego, uderzyć nie może. Hr. Stefan bynajmniej żenić się nie myśli, ale Hanna jest powabną; ponieważ ciotka miała z niej bawidełko, dla czegożby i on mieć go nie mógł? I ma — oszukując baronową Melinek, która za nim i dla niego przyjechała do p. Stalickiej. Wypadek zbyt poważny wstrząsa dumną panią; wola jej stalowa nie złamie się pod nawałem przeciwności. Zagrożony wydziedziczeniem zgadza się niegodziwiec na poślubienie swej ofiary; wraz z żoną dostaje i majątek, a czego nie dostał to wyłudza. Żyją oboje świetnie w Warszawie, dzieci nie mają, tylko coraz większe długi — i cześć w życiu. Pan mąż wcale się nie kępuje: baronowa jest stałą sublokatorką hrabiowską, aż wreszcie hrabia okrada żonę i z towarzyszką ucieka. Wtedy ucieka i Hanna z Warszawy na wieś, gdzie już niema wielkiego dworu, bo wielkość, zabrała większa od majątku pycha pani Stalickiej. Rozbitek w życiu nie przypomina sobie nawet rodziców, którymi wzgardziła, nie chce życia znojnego, do jakiego ją wzywa Sośniak, aby je z przybraną matką swą podzieliła. To nie dla niej, nie dla niej! Wylatuje na swobodę jak ptak a kończy jak awanturka pijaczka w małym miasteczku, aż wreszcie — więcej z cześci duszom połowicznym właściwej, niż z przesyty i rozwłóczenia ducha, a wcale już nie z dziedziczości wlażącej tu jak Płat w *credo*, — wpada w obłąd czy też umiera, w każdym razie psychologicznie ginie.

Sztuka osnuta na przygodzie — prawdziwej, z rzeczywistego życia wziętej, a streszczonej tu w najogólniejszych tylko zarysach, jest jedną z najlepiej napisanych w tegocześniejszej komedii polskiej: zajmuje i powagą i lekkością i dramatyzmem i komizmem, i charakterami ludzi i momentami akcji. Położenia w niej nowe, oryginalne; człowiek żyje wszędzie ze siebie, przemawia własnym językiem t. j. tak, jak żyje wtedy, gdy się nie ucieka do kłamstwa. Malowanie obyczajów zepsutych, czasy (akt III) prawie że mistrzowskie. Głupi salon jest rajszulą dla nieponiów. Pani się nudzi, nudzi od dzieciństwa, a te nudy taką wytworzyły pustkę w jej duszy, że nie ma w niej siły ani na namietność ani na uczciwość. Bawidełko dla pani Stalickiej jest bawidełkiem i samo w sobie: nie żyje, ale trwa w postaci inteligentnie-nerwowej. Przekleństwo wygórowanej pychy iści się w bezdenności tej duszy. Tak prawdopodobnie Lubowski Hannę pomyślał, ale takiej nam ze sceny nie ukazał. W sztuce nicieś nawet wybitną być musi a w charakterze Hanny więcej jest mgły gęstej, oparnej, przysłaniającej duszę, niż kształtów określonych, daną treść duszy wyrażających. Za to pani Stalicka z *Bawidełka* pozostanie nadługo jednym z najlepszych wytworów muzy dramatycznej polskiej. Nie podobna mi tu wdawać się w rozbiór tego charakteru; możnaby i potrzeba nawet, raz już wszedłszy na drugą analizę, — niejedną kartę mu poświęcić. Pyszna pani siłą swą uderza. Daremnie brat rodzony, dzielny człowiek w uczuciach, jeśli nie w czynach, Grzechocki, stawia przed nią zwierciadło prawdy. Ona sama spowiada się nam ze swych grzechów, — ale z tem wszystkim rozstajemy się z panią Stalicką złamana przez najboleśniejsze oświadczenia, i tylko przez rozum ocala od śmieszności uporu. Dramata nie są od tego, aby się w nich ludzie poprawiali, nawracali, kształcili i w ogóle duchowo pięknieli. To temata dla romansów.

Sztuka miałaby wyższą jeszcze wartość, gdyby dwa drugie akty napisane były, a raczej pomyslane, w stylu dwóch pierwszych. W końcu drugiego aktu sztuka się łamie: z psychologicznej i bardzo wybitnie filozoficznej — jeżeli przymiot ten wysnujemy z pojęcia filozofii obyczajów, — ze sztuki oryginalnej w położeniach, stosunkach i charakterach, pobudzającej przytem do myślenia a podtrzymującej naprężoną wrażliwość (z wyjątkiem niepotrzebnego zupełnie ataku pijaka Macieja na kredens) staje się sztuką raczej konwencyonalną francuzką, przypominającą jakby *L'étrangère* Dumasa, chociaż dodać zaraz potrzeba, że oryginalne pojęcie samej bohaterki przypomnienie to ogranicza do strony jedynie formalnej. Zamiast schematycznego upadku lepszym byłby psy-

chologiczny proces Hanny ze Stalicką o zwichnięte wychowanie, o zmarnowane zasoby duszy, i drugi proces: odrąbanych rodziców — z córką, która dla nich przynajmniej wyrodną być musi. Uniknął wprawdzie Lubowski melodramatu, ale też i nie dał prawdziwego dramatu charakterów. Zrywając nagle wszelkie węzły pomiędzy światem dawnym a nowym, usuwając z widowni tak pierwszorzędną w stosunku do Hanny postać, jakimi są oboje rodzice i p. Stalicka, zostawiając w wiekuistym już zawieszeniu ów proces, który, raz zaczawszy się w duszach, nie powinien już być umilknąć i w sztuce — Lubowski właściwie ustawił jeden na drugim dwa osobne dramata: jeden z dwóch pierwszych aktów, drugi z dwóch ostatnich. Architektonika w nich jest różnostylową. Głębokość, z jaką pisane są dwa pierwsze akty, znika w tym drugim postawionym na nich dramacie; tutaj już ową Hannę, mglistą egoistkę z aktu pierwszego, widzimy nudzącą się zabawami damą niby wielkoświatową, a później awanturnicą — nieszczerą, nieprawdziwą, w której gorczy duchową nawet uwierzyć trudno. Całe to pesymistyczne rozwiązanie samorodnych popędów duszy i narzuconych czynników wychowania nie było wcale potrzebne do uwydatnienia głęboko wzruszającego stanowiska Hanny, postawionej pomiędzy rodzicami a dumną panią, która ją sobie na bawidełko wychowała; co więcej nawet zaszkodziło temu właśnie najdzielniejszemu pomysłowi całej sztuki. Można było z niego rozwinąć cały świat wrażeń, uczuć i myśli dla osób dramatu, a wzruszeń dla widzów.

Po akcie III samo prawo reakcji domagało się silnego starcia między Stalicką a wychowanicą, z samego też prawa reakcji — które tutaj byłoby nawet tylko prawem logiki — wynikała konieczność postawienia raz jeszcze dziecka wobec rodziców, chociażby tylko w rozbudzonej przez nieszczęście samowiedzy. Charakteru Hanny nie zdołał umysł mój ująć w żadne ustalone kształty; może to jest wina moja, ale w każdym razie łagodząca tu okolicznością jest i wina, i jeśli nie samego charakteru, to metody, z jaką go autor tworzył. Jeżeli zaś tego charakteru jest egoizm używania, zgoda na takie zakończenie pierwszego obrazu aktu IV, jakie dał Lubowski; ale w takim razie Hanna z aktu I II klóci się z tą Hanną późniejszą tak już na zabój, że i największy kunszt autora, największa względność krytyka pogodzić ich nie zdoła. Jeżeli zaś wychowawca p. Stalickiej była i jest naturą lepszą i głębszą, rozumem jaśniejszym a sercem czystym — to po straszliwym zawodzie aktu III, pozostawiało jej tylko jedno: zwrócenie się w tę stronę gdzie stała spłakana, złorzecząca, daremnie ramię po córkę wyciągająca jej matka. Byłoby to rozwiązanie może zbyt proste, zbyt tradycyjne i zbyt idealistyczne — a tego właśnie lęka się autor dramatyczny w wieku myślicielstwa, rozumowania i realizmu — ale i tu indywidualizm autorski miał dość obszerne pole, mógł się nie lękać o to, że się pod młot na czarownice dostanie, albo, co gorsza, niepostrzeżony przejdzie. Dla natury głębszej odrąbanie wywzajemnione, nieszczęście ogromem swym łamiące, zwierzęcość, do jakiej doprowadza pijanstwo, a z głębi obrazu wynurzające się widmo pychy i despotyzmu, pod którego technieniem wszystkie kielki duchowe mrzeć musiały i marły — mogły się stać tak potężnymi czynnikami rozpacz, że w miejsce banalnej nieco sceny małomiasteczkowej, która zakończy sztukę Lubowskiego, wytworzyłby dramat wręcz wstrząsający. Ale, powtarzam w tym stylu nie chciał Lubowski tworzyć już dwóch drugich aktów sztuki — nie chciał tylko, bo w dwóch pierwszych pokazał, że mógł.

W *Bawidelku* pani Rakiewiczowa grała doskonale Stalicką. Nad wszelkie spodziewanie do innych

zalet tej niepospolitej siły scenicznej przybyło wysłowienie żywe, proste, prawdziwe, nie zatracające niczem o majestatyczne *adagio*, do jakiego pani R. czuje skłonność, niezawsze opanowywaną. P. Ludowej jako baronowej Mélinet nie potrzeba umyślnie wychwalać, aby ją pochwalić. P. Wolski wiedział o co chodzi, i starał się grać jak mógł najlepiej. P. Niewiarowska w krótkiej rozmowie aktu III przypominała czasy Halpertowej; w sztuce była Fonfalewiczowa, opiekunką młodych a pięknych mężatek. P. Ładnowski był nieposzlakowanym bratem Stalickiej, a p. Frenkiel uciesznym blagierem Conte di Bergama. P. Sikorskiego Maćków i pantoflów dawno już znamy. P. Kotarbiński miał dobre chwile w swym Sośniaku, wogóle rola mu się udała. Zadanie artystki grającej rolę bohaterki w *Bawidelku* nie było łatwe. P. Marcella w dwóch pierwszych aktach znikała, wskutek sfinxowej natury charakteru, zamkniętego w sobie tak, że w tem *sobie* domyslać się potrzeba pustki; w akcie trzecim, w scenie porywu niby miłości, w końcu pierwszej odsłony czwartego w gwałtownym wybuchu ze Stalicką, a szczególnie w całej odsłonie drugiej, zwracała na siebie zasłużoną uwagę.

Stanisław Krzemiński.

Z bieżącej chwili.

— We Lwowie ma się odbyć w roku bieżącym jeszcze w czasie zimy wystawa techniczna; obok tego będzie urządzona w najkrótszym czasie wystawa cennych przedmiotów, przywiezionych przez jednego z podróżników tamtejszych ze Wschodu. Mają się tam ukazać cenne zbiory zbroi japońskich, figurek chińskich, wyrobów indyjskich.

— Budowa nowego teatru we Lwowie zapewne nie dojdzie do skutku i tylko stary gmach skarbkowski zostanie odnowiony. Zawezwany z Krakowa budowniczy Zawiejski oświadczył, że rzecz jest do uskutecznienia, bo budynek jest mocny i lat wiele istnieć jeszcze może, odpowiadając wymaganiom sztuki, oraz bezpieczeństwa.

— W ubiegłym roku istniało w Galicyi 272 towarzystw zarobkowych i gospodarczych. Liczyły one 153.059 członków, a fundusz rezerwowy wynosił 1.124.003 zł. reń. Kapitału własnego posiadały 6.374.283 zł. reń., pożyczka przedstawiała 22.353.854 zł. reń. Czysty zysk dał 433.850 zł. reń.

— Szkół przemysłowych liczy Galicya 51, wśród tych jest 22 szkół uzupełniających i 29 zawodowych, rękodzielniczych, oraz warsztatów wzorowych, utrzymywanych kosztem publicznym, lub subweniowanych. Uczy się w nich około 5.000 osób. Wydany na ich utrzymanie grosz publiczny przedstawia w spisie na rok bieżący sumę 142.284 zł. reń. Przemysł niezawodnie ożywi się i nie pozwoli wpuszczać wyrobów austriackich.

— Czesi zamierzają obchodzić uroczystości w d. 28 Marca roku przyszłego trzechsetną rocznicę urodzin Jana Amosa Komeniusza. Zebraniem zostanie dla uczczenia jego pamięci wszystko, co było dziełem jego i wytworzy się muzeum, w którym złożone będą wszystkie jego dzieła, tak w orginale jak przekładach, wszystko, co o nim pisano, obrazy miejsc gdzie przebywał, oraz to, co sam do dzieł swoich rysował. Komitet podjął pracę swoją już w Październiku ubiegłego roku w celu pozyskania środków. Czeskie Towarzystwo Nauczycielskie nałożyło na siebie składki na przeciąg lat trzech. Czesi umieją chodzić uczciwie koło spraw swoich.

— Na petersburskiej wystawie środków zapobiegających pożarom, ma być wystawiona mapa pożarów w Rosyi, w ciągu ostatniego dziesięciolecia z oznaczeniem strat przez nie zrządzonych.

— Komitet wystawy nasion w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa zawiadamia, iż wystawa odroczoną została z powodu, że nadeszło do tej pory tylko 7 deklaracji, co zapewne jest skutkiem nieurodzaju. O terminie wystawy w r. 1893 komitet Muzeum zawiadomi w czasie właściwym.

— Uniwersytet warszawski liczy 1.332 słuchaczy a to: na wydziale historyczno-filologicznym 44, fizyko-matematycznym 144, prawnym 371, lekarskim 604. Farmaceutów jest 163, wolnych słuchaczy 6.

— Miejsce kierownika kolonii letnich dla słabowitych dzieci naszego miasta, opróżnione przez śmierć śp. Dr Fritsche, objął Dr Stanisław Markiewicz, który pierwszy rzucił niegdyś myśl tej pożytecznej instytucji. Obračunki za rok ubiegły wykazały remanent 400 rs., co dowodzi iż publiczność rozumie, jak rzecz jest pożyteczną.

— Towarzystwo Osad Rolnych urządzi seryjną odczytów, w których słyszeć się dadzą pp.: Piotr Chmielowski, Fabian, Noskowski, Nussbaum, Suligowski i inni. Chmielowski mówić będzie o postaciach kobiecych w komediach Fredry.

— Zamierzonym jest konkurs na broszurę popularną z zakresu higieny. Ma ona obejmować kwestyę żywienia się, mieszkania, odzieży; objętość od 4 do 5 arkuszy druku. Rzecz wielce pożyteczna.

— Towarzystwo opieki nad biednymi matkami zamierza wnieść filie w główniejszych miastach prowincjonalnych.

— Liczba kass oszczędności ma być zwiększoną. Obecnie jest ich pięć, lecz właśnie brakuje ich w dzielnicach zamieszkałych przez ludność niezamożną, robotniczą, gdzie są najpotrzebniejsze.

— Komitet Tow. Zachęty Sztęk Pięknych wybrał ze zbioru fotografii, zdjętych z obrazów naszych malarzy, wystawionych w roku zeszłym na Wystawie Berlińskiej, sześć, które wykonane światłodrukiem w Berlinie, utworzą album stanowiące premium dla członków Towarzystwa na rok przyszły. Kartę tytułową wykona akwarellą Miłosz Kotarbiński. Obrazy wspomniane są dziełem pp. Ryszkiewicza, Piotrowskiego, Welońskiego, Rygięra, Pochwalskiego i Hyacynta.

— Nowy ołtarz przybędzie wkrótce kościołowi Wszystkich Świętych na Grzybowie; wyrzeźbiony z marmuru, mieścić on będzie obraz S-tej Trójcy.

— W roku bieżącym przypada pięćdziesięcioletni jubileusz pracy literackiej A. Małeckiego. W celu uczczenia jubilata ma być ustanowione stypendyum w ilości 300 zł. reń., udzielane, poczynając od roku bieżącego, co dwa lata osobom pracującym na polu literatury, języka, historii.

— Rzeźbiarz Zawiejski Mieczysław, bawiący w Krakowie od półtora roku dla wykonania rzeźb potrzebnych do ozdobienia budującego się teatru, wyjeżdża do Florencyi, gdzie zamieszka stale.

— Gmach wystawy dzieł sztuki zostanie zbudowanym we Lwowie. Uchwała odpowiednia już zapadła i wniesiono do Rady Miejskiej petycję o bezpłatne wyznaczenie gruntu pod tę budowę.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: *Omyłka*, przez R. Norrisa. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez Quisa. — Iskierka, przez M. I. (wiersz). — Kobieta w XX wieku, Studium Juliusza Simona, Człon. Akad. fran. i Gu- stawa Simona Dok. Med. przez Alfreda Szczepańskiego (dalszy ciąg). — Niewolnica powieść, przez Bronisława Grabowskiego (dalszy ciąg). — Z Ameryki, przez Hugona. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści, pod tytułem: *Omyłka* przez R. Norrisa. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

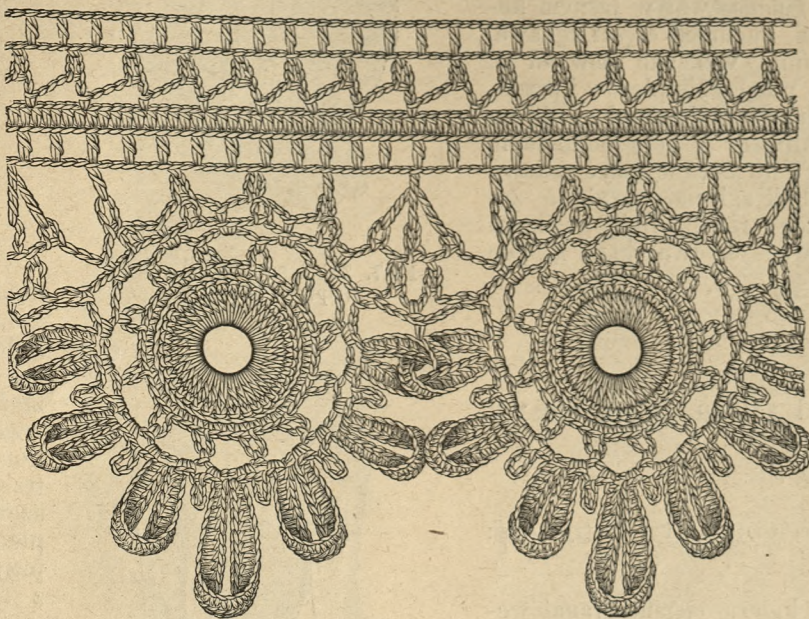
Дозволено Цензурою. — Варшава, 15 Января 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Koronka (robota szydełkowa).

Rycina Nr 1.

Koronka wykonana krętymi niemi, złożona z pojedynczych gwiazdek, łączonych z sobą odpowiednio i w górnej części zakończona wzdłuż kilkoma kolejami. Każdą gwiazdkę rozpocząć od środka na założeniu 15 po-



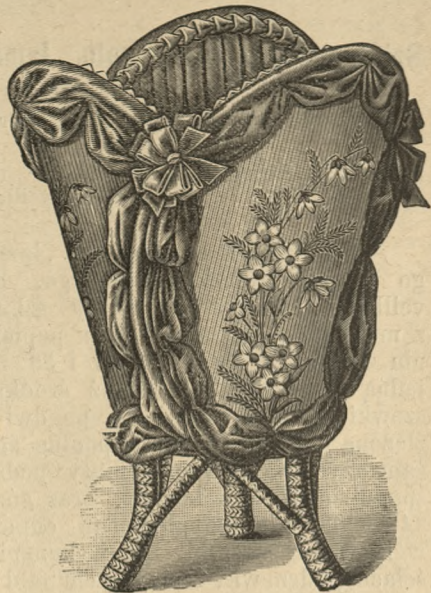
Nr 1. Koronka (robota szydełkowa).

kolei. — 5 kolej: * 4 ściśle oczka, z których 2 środkowe przedzielone pentelką w następnych 5 powietrznych oczkach (na pentelkę należy wykonać 20 powietrznych oczek, na tychże powracając 2 następne oczka opuścić, 1 pół-słupek, 16 słupków, 1 pół-słupek w następne 18 oczek i przyczepić 2 opuszczone oczka), potem 4 powietrzne oczka, z których 2 środkowe przedzielone pikotem, od * powtórzyć jeszcze 6 razy, ale przy trzecim powtórzeniu na pentelkę zamiast 20 powietrznych oczek wykonać 26 oczek a zamiast 16

słupków wykonać 22, potem $\frac{1}{2}$ ściśle oczka w następne 5 powietrznych oczek, 4 powietrzne oczka, których 2 środkowe przedzielone pikotem, od $\frac{1}{2}$ powtórzyć 4 razy, a w końcu 1 ściśle łańcuszkowe ocz. tejże kolei, na czem zakończona gwiazdka. Dalej łączyć i wykonać podług ryciny.



Nr 2. Czepeczek dla starszej osoby. (Opis w Bl. Nr 3).



Nr 4. Kosz, do papierów ozdobiony haftem. (Opis w Bl. Nr 3).



Nr 3. Monogram.



Nr 5. Suknia ranna z kaszmiru i welwetu (do ryc. Nr 9 w Bl. Nr 3). Opis pierw. str. tabl.

Nr 6. Suknia dla młodej osoby (do ryc. Nr 9). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 31—43.

Ubranie [dla] chłopczyka od 14 — 16 lat.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 5. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—10).

Materiał potrzebny: 3 metry 130 centim. szerokości.

Ubranie z szewjotu koloru granatowego. Po dopełnieniu złożenia fig. 1 i 2 skrajając fig. 1—4 po dwie części, połączyć od 1 do 2, od 3 do 4 i od 5 do 6, następnie od 6 do 7 i od 6 do 8. Dolny brzeg majątek zaopatrzyć podszewką i wszyskie kieszenie od 2 do 3, których szew zewnętrzny boczny pokryć pletnią wełnianą koloru czarnego 2 centymetry szerokości. Przyszyć do prawego przedniego brzegu listwę z guzikami a do lewego odpowiednią z dziurkami. Wykonać fałdy w tylnych częściach, podług znaków przyszyć pasek do sprzączki; górny brzeg zaopatrzyć stosownie do potrzeby podszewką, połączyć od 9 do 10 i w miejscu oznaczonym * przyszyć guziki. Kamizelkę skrajając po dopełnieniu złożenia fig. 5 i 6 z szewjotu i z podszewki w jasnym kolorze fig. 5 dwie części, z podszewki i z czarnego atlasu fig. 6 jedną część, złożoną wzdłuż środka i w materiale lewej przedniej części wykonać obydwie nacięcia a w prawej tylko dolne i powszywać kieszenie. Umocować w plecach od $\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{2}$ 21 centymetrów długie paski do sprzączki, od górnego brzegu aż do linii

wietrznych oczek, łączonych w kółko 1 oczkiem łańcuszkowym, następnie 1 kolej: 3 powietrzne oczka, 35 słupków w kółko, 1 ściśle łańcuszkowe oczko w 3 z trzech powietrznych ocz. — 2 kolej: robotę odwrócić i na poprzednich oczkach ciągle 1 ściśle oczko w tylną żyłkę każdego oczka, następnie 1 ściśle łańcuszkowe oczko w 1 ściśle oczko tejże kolei. — 3 kolej: robotę odwrócić, 12 razy pikot, czyli 5 powietrznych oczek i 1 ściśle oczko w oczko znajdujące się przed temże, 3 ściśle oczka w tylną żyłkę następnego 3 oczka. — 4 kolej: 2 ściśle łańcuszkowe oczka w pierwsze 2 powietrznych oczek następnego pikotu, 1 ściśle oczko w następne tegoż oczko, potem ciągle naprzemian: 5 powietrznych oczek, 1 ściśle oczko w następny pikot, następnie 5 powietrznych oczek, 1 ściśle łańcuszkowe oczko w 1 ściśle oczko tejże

pokryć część szewjotem, zeszyć plecy i przednie części i zaopatrzyć przedni brzeg w guziki i w dziurki. Zakiet skraćć po dopełnieniu złożenia fig. 7, 8 i 10 z szewjotu i podszewki w jasnym kolorze fig. 10 z uwzględnieniem konturu spodnich części rękawa, wykończyć takowe podług ryciny pletnia, wykonać szew od 15 do 16, oraz fałdy u wycięcia szyi. Po połączeniu pleców i przednich części, obłożyć takowe z przedniego brzegu od spodu na 10 centymetrów w górę a na 4 centymetry w dół podkładem i materiałem. Wszyć kołnierzyk od 19 do 23, wyłożyć takowy razem z przednimi częściami wzdłuż linii zgięcia, przybrać zakładki pletnią, zaopatrzyć przedni brzeg wzdłuż linii guzikami i dziurkami. Zeszyć rękawy, umocować obydwą $\frac{1}{2}$ na kropce i wszyć trafiając w 27 na 27.

Szlafroczek z materiału „lama“ i atlasu „merveilleux.“

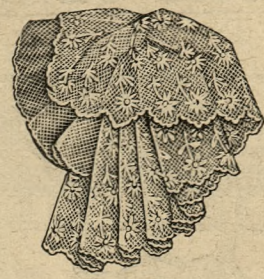
Rycina Nr 2 w Bl. Nr 5. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 44—50).

Materiał potrzebny: 5 metrów „lama“ 120 centymetrów i 3 metry atlasu „merveilleux.“

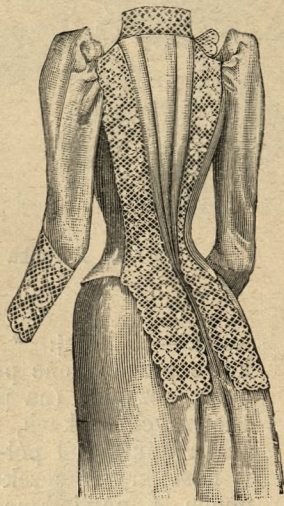
Szlafroczek z materiału „lama“ koloru ciemno-granatowego w rzut koloru popielatego. Przednia część z atlasu „merveilleux“ granatowego, cały szlafrok zaopatrzony podszewką z muślinu wełnianego koloru popielatego. Skraćć po dopełnieniu złożonych figur: 44, 47 i 50 z atlasu „merveilleux“ fig. 45 jedną część złożoną wzdłuż środka; następnie z „lamy“ i podszewki fig. 44, 46 i 49 po dwie części. Fig. 47 jedną część złożoną wzdłuż środka, i podług fig. 50 rękawy, ale przy fig. 44 zauważyć wystające kontury podszewki a w fig. 50 kontury spodnich części rękawów, oraz górny brzeg podszewki; fig. zaś 44 — 47 z uwzględnieniem odpowiedniej długości przydłużyć w kierunku strzałki. Po wykonaniu szaszewek w przednich częściach podszewki i przyszyciu fałd przy linii zgięcia, przyfastrygować materiał do podszewki, wykonać szew od 27 do 28, ułożyć plecy każdy $\frac{1}{2}$ na kropce w fałdy, oraz dwa $\frac{1}{2}$ na jednej kropce. Zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr i połączyć przednie brzegi podszewki stosownie do potrzeby. Potem w części wstawionej umocować dwa $\frac{1}{2}$ na jednej kropce. przyszyć prawą też połowę od 25 do 26, lewą od 26 aż do miejsca oznaczonego * do materiału wzdłuż gładkiej linii; wycięcie szyi zmarszczyć, stosownie do potrzebnego obwodu. Wszyć podług cyfr kołnierzyk ułożony w drobne zakładki, a tylny kołnierzyk połączyć od 25 do 34 z plecami i od 25 do 39 z przednimi częściami. Obłożyć takowy aż do linii zgięcia podkładem



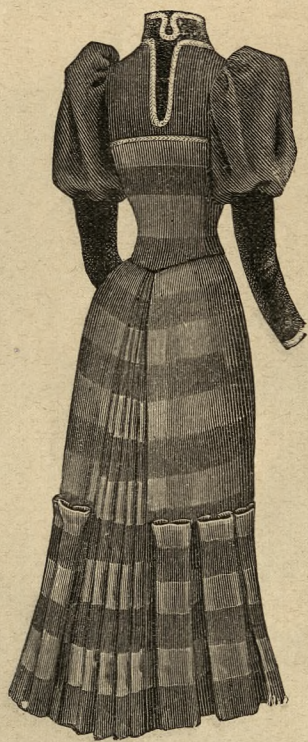
Nr 16. Stanik do sukni wieczorowej dla młodej osoby. (Opis w Bluszu Nr 3).



Nr 7. Żabot z gazy jedwabnej. (Opis w Bl. Nr 3).



Nr 8. Tylina część sukni Nr 10.



Nr 9. Tylina część sukni Nr 6.



Nr 12. Tylina część sukni Nr 11.

i lamą i wyłożyć. Pasek z atlasu ułożonego w z... na kropkę, wykonać szew od 36 do 37, oraz od 39 i wycięcie szyi zmarszczyć kilka-kilka podług wskazówek. Po przymocowaniu podług ryciny i wszyć trafiając w 43 na 43.

Sukienka dla panienki od 9—11 lat.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 3. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11—17).

Materiał potrzebny $4\frac{1}{2}$ metra 110 cent. szer.

Suknia z materiału wełnianego koloru niebieskiego, przybrana riusz z tegoż materiału, kaszmiru koloru „crème“ i wstążka repsowa w tychże dwóch kolorach. Skraćć fig. 11—13 po dwie części. Podług fig. 16 rękawy. Z materiału fig. 14 po dopełnieniu złożenia też jedną część fig. 17 dwie części złożone wzdłuż środka, ale zwrócić uwagę w fig. 16 i 17 na kontury spodnich części, fig. zaś 14 należy według potrzeby przydłużyć w kierunku strzałki. Wykonać szewki w przednich częściach i połączyć podług cyfr plecy, boczki i przednie części. Do dolnego brzegu przyszyć spódnicę 56 cent. długą a 170 cent. szerokość z alpagi niebieskiej podszytej muślinem. Następnie w fig. 14 wykonać zakładki w kształcie paska, połączyć takowe muślinem i ułożyć w fałdy, trafiając ka-



Nr 10. Suknia ślubna z atlasu i koronki haftowanej (do ryc. Nr 8). Opis w Bl. Nr 3.

na kropkę, wykonać szew od 36 do 37, oraz od 39 i wycięcie szyi zmarszczyć kilka-kilka podług wskazówek. Po przymocowaniu podług ryciny i wszyć trafiając w 43 na 43. Wykończyć rękawy marszczoną, obszytą, jak rycina kaszmiem „crème“ a powyżej fałbany riu-rynianą w zęby, układaną w kontrafałdy. Kołnierzyk przyszyć od 28 do 34. Rękawy z podszewki przyszyć od 40 do 41. Rękawy z materiału ułożyć po wskazówce w zakładki podłożne na sztorc umocować na podszewce, wykonać szew od 42 do 43. Wszyć w fałdki od $\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{2}$ i od dwukropka do dwukropka i wszyć, trafiając w 43 na 43. Wykończyć rękawy podług ryciny.

Ubranie dla chłopczyka od 3—5 lat.

Nr 4 Bl. Nr 5. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18—26).

Materiał potrzebny: $\frac{3}{4}$ metra gładkiego, 1 metr materiału w pasy 120 cent. szer.

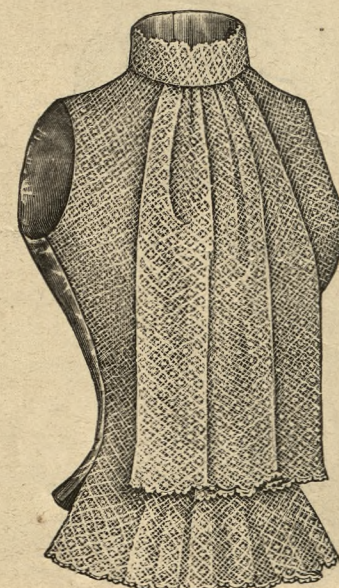
Ubranie złożone z majtek z granatowego szewjot-staniczkiem i z bluzy z materiału wełnianego w granatowe paski. Majtki skraćć z materiału z podszewki podług fig. 18 i 19 po dwie czę-



Nr 13. Fartuszek z materiału odpasowanego. (Opis w Bl. Nr 3).



Nr 15. Fartuszek z atlasu „duchesse.“ $\frac{1}{2}$ (Opis w Bl. Nr 3).



Nr 17. Napiersnik. (Opis w Bl. Nr 3).



Nr 14. Płaszcz dla panienki od 8—10 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 51—56). Opis w Bl. Nr 3.



Nr 18 i 19. Suknia z bengaliny i aksamitu (część przednia i tylna). (Opis odwr. str. tabl.).

ści, z czarnego atlasu fig. 20 jedną część złożoną wzdłuż środka, zeszyć części tylne i przednie od 44 do 45 i od 46 do 47, przednie od 47 do 48, tylne od 47 do 49. Wszyć kieszenie od 44 do 55. Dolną część otoczyć paskiem 36 centim. długim a $1\frac{1}{2}$ cent. szerokim, i zaopatrzyć rozporki w dziurki i w guziki. Do prawego przedniego brzegu przyszyć listwę z guzikami a do lewego odpowiednią z dziurkami. Wykonać w tyle fałdki i górny brzeg wszyć w pasek odpowiednio długi a 3 cent. szeroki. W staniczku spodnim wykonać szew od 50 do 51 i od 52 do 53, przyszyć do przednich części majtek od 54 do 55, zaopatrzyć w tyle w guziki. Bluzę skraćć z materiału w pasy fig. 22 i 24 po jednej części, fig. 25 dwie części złożone wzdłuż środka. Z szewjotu, podkładu i podszewki fig.

21 i 23 po jebnej części; fig. 26 dwie części złożone wzdłuż środka, ale rękawy z uwzględnieniem spodnich konturów. Bluzę zeszyć od 59 do 60 i przyszyć podług wskazówek tasiemkę do przewleknięcia elastycznej tasiemki. Po zmarszczeniu w górnym brzegu kilkakrotnie aż do linii, połączyć z karczkiem podług cyfr. Karczek zapina się na ramieniu. W miejscu oznaczonym * przyszyć pentlicę z materyału 5 centymetrów długie do przewleknięcia paska 73 centymetrów długości a 4 centymetry szerokości, wykonanego z szewjotu i podkładu. Rękawy zaopatrzyć podszewką, zmarszczyć od * do *, wykonać szew od 64 do 65, połączyć z mankietami zszytymi od 66 do 67 i wszyć, trafiając w 65 na 65. Wykończyć całość podług ryciny hacikiem rybiej łuszczyki jedwabiem koloru białego.

Przepisy gospodarskie.

Sos holenderski łatwym sposobem.

Sos holenderski jest jeden z najtrudniejszych, bo nie materyały użyte, ale umiejętność w wykonaniu ma tu największe znaczenie. Podany w 365 obiadach 16, wydania wymaga umiejętnej roboty, dziś więc podaję łatwiejszy sposób. Cztery żółtka, ćwierć funta wyborowego młodego masła, kwatka, nie więcej, zimnego rosółu, łyżeczka soku cytrynowego i soli do smaku. Wszystko to włożyć w głęboki rondel i na wolnym ogniu, (to znaczy, żeby nie na wielkim płomieniu), bić od razu ubijaczką drewnianą z dziurkami jak szodo, gdy sos zacznie gęstnieć zdjąć z ognia, jeszcze

chwilkę kręcić, żeby się zrównał i podać oddzielnie w sosierce do ryb lub prosięcia na smaku z włoszczyzny ugotowanych. Należy pilnować aby się nie zagotował, bo się zwarzy i będzie do niczego, biorąc 6 żółtek będzie sos gęstszy.
Proporcya na 4—6 osób.

L. C.

Obiad na Niedziele.

1. Zupa czyli rosół z „julienną“.
2. Sztuka mięsa opiekana z chrzanem.
3. Kotlety cielęce ze szpinakiem.
4. Jarzabki z borówkami.
5. Poncz rzymski w szklaneczkach.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani Anieli Gut, gub. Grodz.

Co do roboty siatkowej i gipiurowej niech się pani uda po naukę do najpierwszej pracowni koronek gipiurowych panny Bronisławy Popielewskiej, ulica Grzybowska Nr 15, miesz. 6. Jednak zwracam uwagę, iż każda nauka się płaci.

Ręczników żądanych dostanie pani w składzie Żyrardowskim, Krakowskie - Przedmieście Nr 55, w cenie od rubli 11 do 22.

Odp. pani Zofii K. we Lwowie.

Jeżeli pani numer zagubiła, to i ja nie mogę pamiętać, w którym był żądany przepis. W trzecim wydaniu „Poradnika porządku, który tylko co prasę opuścił, na str. 141 znajdzie pani żądany przepis.

L. C.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA

L. Ćwierczakiewicz.

1. **Kolęda dla gospodyń.** Kalendarz na rok 1892 (rok 17-ty). Cena kop. 50.
2. **Podarunek ślubny** czyli „Kurs gospodarstwa dla kobiet“ (wydanie 2). Cena rs. 1.
3. **„365 Obiadów“** (wydanie 16) rs. 1 kop. 80 w oprawie.
4. **Jedynie praktyczne przepisy** konfitur, marmelat, wędlin, ciast, wódek, likierów, za które autorka nagrodzoną została medalem złotym (wydanie 14). Cena rs. 1 kop. 30 w oprawie.
5. **„Poradnik porządku i różnych higienicznych wiadomości“** (wydanie 3). Cena kop. 70.
6. **Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela** z 239 rycinami. Cena rs. 1.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru *Bluszczu*.



Nr 21. Torebka na perspektywę.
(Opis w Bl. Nr 3).

Nr 20. Szlak wykonany szydełkiem do ozdoby koszyków, stalug i t. p.
(Opis w Bl. Nr 3).

Nr 22. Woreczek „Pompador.“
(Opis w Bl. Nr 3).